№ 5. Warszawa, dnia 30 (18) Stycznia 1886 r. Rok VI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

„POZYTYWNE ŚRODKI."

Więc jeszcze nie koniec, który przejdzie najpotworniejsze oczekiwania dzikości naszego wieku! Trzydzieści tysięcy niewinnych ludzi wygnał rząd pruski, ale nie pochwalił tego okrucieństwa naród niemiecki, przynajmniej jego większość. Teraz idzie o to, ażeby ów naród przez swych przedstawicieli w Izbie pruskiej przyklasnął strasznemu igrzysku a nawet zażądał przedłużenia go z większą energią.

Jakkolwiek nagana, udzielona ks. Bismarkowi w sejmie pruskim, była bardzo skromną i mniej ostrą, niż litewski kisiel, nie mógł przecież dumny pan jej strawić. Polecił zaraz swojej czeladzi narodowo-liberalnej i konserwatywnej, ażeby w Izbie pruskiej, będącej kanclerską kuchnią, przygotowała knedel narodowy i podała go na półmisku rządowi. Czeladź ta przyprawiła wniosek, który pozyska większość sejmową, a który podajemy w brzmieniu dosłownem, ażeby żadna kiść ostu nie wypadła z tego oślego bukietu: „Uznając *prawo* i *obowiązek* królewskiego rządu do energicznego wystąpienia w obronie narodowych interesów niemieckich w prowincyach wschodnich, Izba 1) wyraża *zadowolenie*, że w Najwyższej mowie tronowej zapowiedziane są środki *pozytywne* dla zapewnienia istnienia i rozwoju ludności i kultury niemieckiej w tych prowincyach; 2) oświadcza *gotowość* przyznania odpowiednich zasobów dla przeprowadzenia wymierzonych ku temu środków, zwłaszcza na polu szkolnictwa i ogólnego zarządu, oraz dla popierania osiedleń niemieckich rolników i włościan w tych prowincyach." W takim to ucisku i zagładzie odbija się „kultura niemiecka." To nie dzicy zulusi, zanoszący krwiożerczą prośbę do swego Cetewaja, ale przedstawiciele oświeconego narodu niemieckiego, podający „genialnemu mężowi stanu" sprawiedliwy wniosek. Strach pomyśleć, w jakim my czasie żyjemy, jak okropny chaos pojęć nas otacza, jak śmiało występek przybiera oblicze cnoty! Trzeba koniecznie na te zdrożności patrzeć, ażeby w nie uwierzyć. Za lat trzysta może potomność wątpić będzie, czy teraźniejszość zapisała jej świadectwa tego tyberyanizmu wiernie!

Jak rzekliśmy, sławna owa pochwała „energicznego wystąpienia" przeciw polakom, oraz dołączone do niej żądania w Izbie pruskiej przejdą. Tam bowiem panują konserwatyści i narodowo-liberalni, dwa żywioły, ogołocone z wszelkich uczuć moralnych. Zwłaszcza ci ostatni, niejednokrotnie podeptani przez swego pana, wzgardzeni przez wszystkich, ciągle gotowi do najmu w niecnych przedsięwzięciach— nie zawiodą. Pójdą oni za rozkazem dalej, niż nawet Rada związkowa. Bo wprawdzie i ona odrzuciła uchwałę sejmu niemieckiego bez rozbioru i przyznała rządowi pruskiemu prawo wydalania obcych poddanych, ale oparła się wyłącznie na względach formalnych, nie wchodząc w treść i moralną wartość strasznego rozporządzenia. Orzekła ona niejako: czy Bismark postąpił uczciwie, wypędzając niewinnych ludzi, nie badamy; przyznajmy tylko, że miał prawo tak zrobić. Narodowo-liberalni nie zatrzymują się na tej formalnej granicy, pochwalają wyraźnie okrucieństwo spełnione i domagają się większego — „pozytywnego." A nie należy zapominać, że ta zgniła partya ma na swym szyldzie wszystkie szczytne godła swobody, tolerancyi itd. Co zaś ona w imię tych godeł czci, o tem można się tylko przekonać na granicy, gdzie wypędzeni się gromadzą. Jeden obrazek wystarczy za wiele. Biedną kobietę, która przed paru dniami urodziła dziecko, policya pruska przygnała *pieszo* do Aleksandrowa w takim stanie, że żandarm rosyjski, ulitowawszy się nad nieszczęśliwą, kazał ją odwieść do Włocławka — do szpitala. Najstraszniejszy wszakże jest los tych, którzy nie byli poddanymi rosyjskimi a odstawieni przez władze pruskie na granicę, bywają odprawiani przez rosyjskie. Dostają się oni bowiem między dwa mury, z których wyjść nie mogą. Zwykle zaś są to ludzie bardzo ubodzy.

Oto, co się podoba narodowo-liberałom niemieckim!

„Pozytywne środki," zapowiedziane w mowie tronowej przeciwko polakom, jeszcze dotąd nie zostały wyłożone w szczegółowym projekcie. „Co nam zabiorą — pisze korespondent poznański jednej z gazet warszawskich — chyba skórę zedrą." Kto wie — może i zedrą skórę. Dziś w Prusach wszystko jest możliwem — wszystko!

FRANCYA I ANGLIA.

Pomówmy też nieco o polityce—nie ze względu na to, że wiosna nadchodzi, ale na to, że śród trosk życia powszedniego, z kółka interesów najbliższych i kłopotów prywatnych, warto od czasu do czasu wyglądać i sprawę sobie zdawać z tego, jak się obracają koła, w których tkwią i od

których zależą kółka najściślej prywatne. „Polityka nas zalewa“—skarżą się ludzie. To było tak zawsze. Polityka zalewała ojców i praojców naszych z tą jeno różnicą, że w czasach dawniejszych brakło świadomości politycznej, na kółkach spoczywały ciemności i ludzkie wzroki nie sięgały po za granice wiosek i miasteczek rodzinnych, koleje żelazne nie zbliżały krańców Europy, druty telegraficzne nie opasywały kuli ziemskiej, pieniądze kursu nie zmieniały i cena zboża amerykańskiego nie wywierała wpływu na wartość tego korca pszenicy, który Wojtek z Wólki Zapadłej sprzedaje na jarmarku w Pacanowie. Dziś Wojtków nawet polityka obchodzi—a cóż dopiero ludzi piśmiennych. Z tych tedy powodów pozwolę sobie dotknąć tego przedmiotu w stosunku do dwóch państw, których położenie w chwili obecnej zwraca na siebie uwagę.

Dwie są polityki, a raczej, dwojakiem jest na sprawy polityczne zapatrywanie się: gazeciarskie i historyczne. Pierwsze snuje wnioski i stawia wróżby na podstawie wypadków bieżących, nie zważając ani na przyczyny, których są one następstwem, ani na ogólny potrzeb i dążności ludzkich kierunek, w który się one wplatają. Mąż stanu, co w gazecie pióro do kreślenia artykułów wstępnych dzierży, nie wybiega myślą dalej, niż od dzisiejszego wieczora do jutrzejszego poranku. I inaczej być nie może. W życiu bieżącem, kto doczekał wieczora, czeka na poranek i interesuje się nim. Czytamy w dziennikach: „Cieszmy się! będziemy pokój mieli — sprawa wschodnia rozwiązana: stary cesarz, który tylko co święcił dwudziestopiątą rocznicę swego na tron pruski wstąpienia, chce dla Europy spokoju i pragnie wpływ swój cały na utrzymanie pokoju obrócić.“ „Czyż w rzeczy samej rozwiązuje to sprawę wschodnią?... Tak ze wszystkiem i we wszystkiem. Gazeciarstwo nie idzie dalej. Widok pokojowy wpływa na kursy papierów giełdowych—to dosyć i... *après nous le déluge*. Wedle tej metody piszą dziennikarze o Francyi i Anglii i, ponieważ znajdują się one w położeniu, obniżającem kursy ich papierów, wywnioskowują stąd dla nich wróżby smutne. Niektórzy idą dalej: napadają na nie, oskarżają je, obarczają zarzutami win, zbrodni nawet. I dziennikarstwo polskie, które, przez losy na stanowisku przedmiotowem postawione, w tym względzie ostrożniejsze i wstrzemięźliwsze od innych być powinno, recytuje za panią matką pacierz—i: „Hajże na Soplicę!...“

„Francya—Anglia giną... Dobrze im tak: niech giną!“

Tak twierdzi polityka gazeciarska, której historyczna odpowiada, że dwa te państwa; taką ważną w stosunkach europejskich odegrywające rolę, nie giną, ale się przeistaczają—przeistaczają się, idąc w tym kierunku, który się bardzo wyraźnie zaznacza w postępie dziejowym.

Społeczeństwa ludzkie, w państwa pokształtowane, nie wybrały sobie jeszcze (i czy wybiorą kiedy?) formy ostatecznej, w której by się na zawsze skrystalizowały. Nie sięgając myślą dawniejszych, niż Karola Wielkiego czasów—iluż to przekształceniom politycznym Europa podlegała! — jak państwa zmieniały się w swych formach i istocie!... Francya Ludwika świętego, Francya Ludwika XI, Francya Ludwika XIV—Anglia Plantagenetów, Anglia Elżbiety, Anglia Wilhelma III: przedstawiają się, jako ustawiczny ciąg rozwoju, który w następstwach swoich doszedł do czasów obecnych i nieustaje. Może by lepiej było, ażeby ustał, jak sobie życzą niektórzy i jak (acz nie całkowicie) ustał był w Chinach, cóż, kiedy to rzecz niemożliwa, ruch ów bowiem, polegający na podążaniu ku lepszemu i coraz to lepszemu, wszczepiony jest w naturę ludzką! Prapraojcowie nasi mieszkali po jaskiniach, praprojcowie po szałasach, praojcowie budowali już sobie chaty z bierwion, ojcowie domy i pałace. Postęp, wnaturzony w nas, obejmuje całą sferę działalności życiowej ludzkiej i nie czyni wyjątku dla polityki. Jak się jaskinia przeistoczyła w pałac, tak dawniejsza Francya i Anglia przeistoczyły się w to, czem są dziś. Tak być musiało i nie zaradzi na to wierzganie żadne, albowiem zmiany wypłynęły z natury rzeczy i dokonały się nie dziś, to jutro. Dokonały się jednak dziś i oto tu sęk, o którym słówko rzec należy.

Francya i Anglia na drodze rozwoju dziejowego poszły przodem — wyścignęły inne państwa europejskie, i przez to znalazły się w położeniu niekoniecznie dogodnem. Stanowisko takie jest do utrzymania nie łatwe. Francya je trzykrotnie zajmowała i dwa razy cofnąć się musiała, po raz trzeci zaś weszła na nie zmitrężona, zgnieciona, obdarta i zaszachowana przez mocarstwa, które z topieli jej krwi wyrosło nagle, niby grzyb po deszczu. W warunkach tych musiała ona—w sobie się zamknąć i narazić się na zarzuty, jakie czynią jej dziennikarze z powodu, że głos jej na powadze i znaczeniu w sprawach politycznej zewnętrznej stracił. Tak — stracił: zastąpił go inny, nawołujący przeistoczenie w kierunku odwrotnym i obwołujący „siłę przed prawem“ nie innem, jak postępu właśnie. Skutkiem tego był odpływ postępowy, zapanował ton reakcyjny, pojawiać się poczęły „wilkołaki“—u nas nawet. Zjawisko to, bezpośrednie wypadków, które wypchnęły Prusy na stanowisko przewodnie w polityce, następstwo, przykrem jest i—nam zwłaszcza, dla których postęp stanowi deskę zbawienia—szkodę ogromną sprawiającem; ale ani się niem trwożyć zbytecznie, ani rozpaczy się oddawać nie należy. Jest to odpływ—nie co innego. Zdarzał się on już nieraz. Po encyklopedystach, Voltairze i Rousseau przyszli De Maistre, Bonald, Chateaubriand, odpływ pod naciskiem politycznym, odbył się na linii całej i po nim nastąpił przypływ postępowy, który w czasach naszych znów, a zawsze pod tymże naciskiem, usunął się, pozostawiając na wybrzeżu raki, skorupiaki i stworzenia inne, co się fali unosić dają. Tak samo uderza i ustępuje przypływ i odpływ reakcyjny. Zmienia jednak drogi. Dziś, ponieważ dwa społeczeństwa przodowe sobą zajęte przycichły, reakcya głos podniosła, grzmi i wróży: pohybel Francyi, pohybel Anglii i pohybel postępowi!

Bajki! Ani Francya jeszcze nie przepadła, ani Anglia nie przepadła. Przeistaczanie się jednej i drugiej odmiennemi szło drogami; szło jednak i idzie, gromadząc materyały, które się przydadzą w chwili, gdy uporządkowanymi należycie zostaną. Ktoś powiedział, że rzeki wstecz nie płyną.

Francya po wojnie ostatniej w jaknajkłopotliwszem znajdowała się położeniu pod względem każdym. Przyjęła formę rządu republikańską dla tego, że forma ta „najmniej różni“ i urządziła sobie „republikę bez republikanów“—na próbę. Nie—republikanie dla respubliki konstytucyę ułożyli i w warunkach tych na próby ją puścili. Trwa to już lat czternaście. W formach monarchicznych rzeczpospolita targa się i wije, szukając sposobów zmienienia na dogodniejszą odzieży, która swobodę jej ruchów krępuje. Takim jest powód, dla którego Francya zabrać nie może głosu w polityce zewnętrznej. Uwagę jej pochłania całkowicie czynność domowa, wewnętrzna, mająca na celu takie uregu-

---

4)

POWIEŚĆ.

ZA TRZYDZIESTOLETNIĄ PRACĘ.

III.

Zbliżył się czas wyzwolenia chłopów, kraj ogarnęła gorączka pamiętna... Młode pokolenie szlacheckie i mieszczańskie rozbiegło się po lasach... Chlebodawca Żurby, mający mało powodów do niezadowolenia, nie wziąłby żadnego udziału, gdyby go nie przynaglono. Ledwie mógł oderwać się od kielicha, kart i kobiety. Żurba, u którego zebrania zaczęste i za liczne bywały i śpiewy rozlegały się, wyrzekał go ciągle... Dziwiono się, skąd tyle broni wisiało u niego na ścianach? co znaczyły zapasy prochu?

— Bo też nie wiecie — tłomaczył — że teraz więcej, niż kiedykolwiek, trzeba strzedz lasy. Chłopstwo uwolnione od robocizny, wiele złego może się dopuszczać...

— A te guziczki z ptakiem jakimś, o-rzełkiem?.. Wiem już! Zapewne do sukman leśników?..

— Hm... tak... plątał się język z zaklopotania.

Żona nawet nie wiedziała, że oprócz śpiewów nabrzmiałych żalem i groźbą, które z okien ich domku wyrywały się i biegły aż w bór, mąż jej działał jeszcze i w inny sposób... Raz z pośród zarośli, po za płotami, ukazała się gromadka ludzi, postrojonych w siwe kurtki i czapeczki czworokątne, obłożone barankiem białym, przez ramiona mieli przewieszone strzelby myśliwskie, pojedynki i dubeltówki, za pasem sterczały pistolety i kordelasy. Szli, pośpiewując z cicha, a każdy z nich nie więcej, niż dwadzieścia lub ośmnaście wiosen liczył, z wyjątkiem jednego, znacznie starszego od reszty...

— Idź z nami — nastawali na Żurbę.

— Czyście zmysły postradali? Ja mam dzieci i żonę! Po co nos wysuwacie z lasu? Czy żeby was chłopi powiązali?

— A to co? — potrząsali junacko strzelbami i kordelasami.

Zaopatrzeni w żywność przez Żurbę, za jego radą, przedzierali się w głąb puszczy do szarego wojaka ze szkoły „podchorążych,“ żeby ich powiódł...

W tym czasie Żurba prawie w domu nie siedział, ciągle posyłany w różne strony przez dziedzica... Smolarnię powierzył pomocnikowi. Nigdy tyle, co wtedy, nie wycierpiała jego żona z trwogi o męża i o pożar. Łatwo mogło nastąpić podpalenie, bo chłopi czuli się wolnymi i byli pijani dziką nadzieją. Lada co ich rozdrażniało, przypominając krzywdy niepomszczone... Krnąbrność dochodziła do ostatecznych granic, podszczuwaczów było dużo w każdej wsi.

— Teraz nasza kolej, nam panować! — dawały się słyszeć okrzyki podżegające śród ciżby kmiecej, zaskoczonej przez wypadki znienacka, tęskniącej za czemś i łudzonej.

I stało się wedle przeczuć Żurbiny. Ciemności jednej nocy pierzchły przed łuną, umknąwszy na dalsze krańce nieba, gdzie w kir się zmieniły. Rozległ się brzask płomieni, trawiących drewno, powstał huk od spadania kadzi, rury miedziane się topiły a ogień beczek ze smołą sięgał daleko. Biedna kobieta, sama jedna, traciła przytomność i ustać nie mogła na nogach, podkaszających się. Dzieci, wyniesione z mieszkania na brzeg lasu, dwuletni i czteroletnie, leżały w śnie gorączkowym na swych pościółkach, wlepiając szeroko rozwarte i duże oczy w krwawą łunę. Gadano później o człowieku, co mszcząc się za sumienne oglądanie „szur“ łuczywa, podpalił smolarnię. Żaden chłop ze wsi, odległej o cztery wiorsty, nie pośpieszył na pomoc. Niejeden, wyciągnięty

lowanie stosunków, ażeby (przepraszam za figurę retoryczną) tabakiera była dla nosa. Rzeczy takie nie robią się na skinienie różczki czarodziejskiej—w społeczeństwie zwłaszcza, złożonem tak jak francuskie z żywiołów, wnoszących do roboty pierwiastki zasadnicze różnorodne, którymi nasiąkały w czasach i w okolicznościach rozmaitych. Z pierwiastków tych każdy występuje z roszczeniami. Potomkowie rycerzy krzyżowych domagają się pierwszeństwa, kościół upomina się o przewodnictwo, mieszczaństwo walczy o władzę, klasa robocza woła o prawa do chleba. Wszystko to rozbija się na stronnictwa: monarchiczne takie i monarchiczne inne, klerykalne takie i klerykalne inne, a dalej—demokratyczne cieniowane rozlicznie i zaznaczające się barwami, których szereg zamyka ponury kolor czarny, znamionujący miłośników życia jaskinnego. Stan taki rzeczy jest wyrazem fermentu, poprzedzającego zestosunkowanie się pierwiastków, i w takim stanie rzeczy celem najważniejszym jest regulowanie spraw wewnętrznych, pochłaniające uwagę i zabierające czas. Francya obecnie zajętą jest rozwiązaniem zadania bardzo ważnego—stosunków społecznych. Zadanie to nie ją jedną tylko obchodzi. Nie miejmyż do niej pretensyi, że dwóch rzeczy na raz jeden nie robi i że, dla spraw wewnętrznych od zewnętrznych uwagę odwraca. Materyałów do rozwiązania zadania przysposobiła sobie już sporo i życzyć jeno należy, ażeby je właściwie zużytkować umiała. Obecny skład Izby, dla tego właśnie że stronnictwo radykalne przedstawia się w niej pod względem liczebnym poważnie, spodziewać się każe, jeżeli nie zmian, to bodaj przeróbek w konstytucyi takich, które Francyę wprowadzą nareszcie z zaklętego koła próby na obszar działalności, pozwalającej jej zająć przodownictwo w postępowym ludzkości pochodzie. Ku temu idzie, Ferry'owie i Frecinety, Freycinety i Ferry'owie, lubo w szczegółach błądzić mogą, w kierunku tym jednak ją prowadzą, kontrolowani i popędzani przez ogół. Francya, politycznie odosobniona, w sobie zamknięta i fermentująca, jeżeli z wrzenia tego wyprowadzi odpowiednią państwa nowożytnego formacyę, zasłuży się ludzkości lepiej, aniżeli gdyby jej ministrowie spraw zagranicznych z retoryką się popisywali. Może celu nie osiągnie, może osiągnie, może ją co z kolei zepchnie i na drogi wsteczne wpędzi: wszystko to stać się może, ale droga pochodu jej obecnego jest drogą, na którą ją dziejowy rozwój wprowadził i na którą, gdyby z niej zeszła, powrócić by znów musiała.

Anglia znajduje się w położeniu takiem prawie samem. Francya szła naprzód rzutami rewolucyjnymi; ona rewolucyi spróbowała, przeniosła ją następnie na grunt parlamentarny, na którym rewolucya przybrała charakter rozwoju postępowego, powolnego a ciągłego. Tamta się rzucała i cofała; ta się cofać nie potrzebowała—swobody jedną po drugiej zdobywała i zdobyte spożytkowywać umiała. Trybem tym postępując, dokazała tego, że stanęła obecnie na punkcie równoznacznym temu, jaki sąsiadka i spółzawodniczka jej zajmuje. Różnica polega na formach; w istocie rzeczy jednak Anglia jest rzeczpospolitą monarchiczną, jak Francya: królowa Wiktorya kosztuje naród drożej, aniżeli pan Grévy, ale udział jej we władzy nie jest zgoła większy. Król panuje, nie rządzi; rząd spoczywa w rękach narodu, wybierającego przedstawicieli swoich i rozszerzającego sobie stopniowo prawa wyborcze tak, że obecnie mało jej już do głosowania powszechnego braknie. Porównanie przeprowadzić się da całkowicie w liniach ogólnych, przeprowadzić się da aż do chwili ostatniej, w której także sama przyczyna zewnętrzna (wysunięcie się Prus na czoło spraw politycznych) i podobna wewnętrzna (szukanie klucza do rozwiązania zadania stosunków społecznych) wyparły ją po za sferę wpływów na politykę europejską. I ona zamknęła się w sobie. I w niej rząd ma ręce związane przez stosunek stronnictw parlamentarnych. Ani gabinet konserwatywny, ani liberalny na większość liczyć nie może, albowiem, jak gabinet pana Freycineta z radykałami, liczyć się musi z irlandczykami, żądającymi odmawianej im przez wieki całe sprawiedliwości. W ten sposób Anglia stanęła na progu radykalnej w ustroju wewnętrznym państwowym zmiany. Przymusowa centralizacya, uważana dotychczas, jako główna podwalina potęgi mocarstwowej, kona. Sprawa ta na porządek dzienny stanowczo weszła i domaga się załatwienia, którego dłuższe odkładanie narażiłoby Wielką Brytanię na całkowitą utratę wpływu zewnętrznego.

Porównywając obecne położenie Francyi i Anglii, widzimy, że jednakowe przyczyny doprowadziły w dwóch tych przodujących na drodze postępu państwach do wyników jednakowych. Przyczyny te ciągiem jednym układają się na drodze pochodu dziejowego; następstwa zaś, rozpatrywane z punktu polityki gazeciarskiej, mają taki pozór, jakby dwa te mocarstwa ku upadkowi się chyliły i bliskie były spadnięcia na stanowisko drugo, trzecio-rzędnych. Jest to jednak, po prostu, złudzenie optyczne, pochodzące z zacieśnienia widnokręgu, w którym obraca się polityka tego rodzaju. Horyzont dziejowy rzecz tę przedstawia inaczej. Zatrzymanie się na etapie nie pociąga zgoła za sobą osłabienia i upadku—przeciwnie: temu, co pochód odbywa, odpoczynek jest potrzebnym. Przypatrując się Francyi i Anglii, nie widać, ażeby one w sobie—w istocie swojej—osłabły. Nie ubyło im nic z tych materyalnych, moralnych i umysłowych zasobów, które siłę narodów stanowią—nie ubyło nic i, jeżeli weźmiemy na uwagę reformy nie inne, tylko wychowawcze, jakie w czasach ostatnich po tej i po tamtej stronie kanału La Manche wprowadzone zostały, do tego pocieszającego dojdziemy wniosku, że zasoby owe spożytkują się odpowiednio i należycie. Do wniosku tego i ta jeszcze doprowadza okoliczność, że Prusy, spotężniawszy potwornie, zwróciły się w kierunku wstecznym. Doświadczenie uczy, że reakcya za podnietę służy. Wsteczność pruska podnieca we Francyi i Anglii postępowość i wywołuje spółzawodnictwo, którego wynik ostateczny wątpliwym być nie może, dla tego bodaj, że w samychże Niemczech istnieją żywioły postępowe, odpowiadające francuskim i niemieckim. Zgłuszone są dziś one i dławione; istnieją jednak w postaci ziarn, którym potrzeba tej konieczności dziejowej, co ludzkość nie w tył, ale naprzód i wciąż naprzód popycha, zmarnieć w glebie nie da. Fala, co odpłynęła, powróci—„większy Bóg, aniżeli pan Rymsza.“

T. T. Jeż.

Z FRANCYI.

Paryż, 23 stycznia.

Początek nowej sesyi parlamentarnej. — Orędzie prezydenta i deklaracya ministeryalna. — Reformy zapowiadane przez gabinet. — Skrajna lewica.

Korab parlamentarny francuski wypłynął już na pełne morze i płynie z rozpię-

---

z chaty łuną, popatrzył w stronę pożaru obojętnie, podrapał się i rzekł:

— Smolarnia się pali. Niechaj sobie...

— Aj, aj! gore! gaście! — krzyczał zaspany, nieprzytomny parobek, porwawszy się z tapczana.

— Cicho tam, głupi! Czego ludzi straszysz? Śpij! — uspokajał ktoś.

Nastał dzień pogromu, dzień sądny dla kraju... Do innych plag dołączyły się i donosicielstwa. Kodeks groził za milczenie karą ciężką, oczekiwane były nagrody, nie zbywało nienawidzonych i nienawidzących, więc donosiciele mnożyli się... Był we wsi najzażartszy podszczuwacz, Apanas Hanczar, pastuch, który poprzysiągł zemstę Żurbie i śledził go. Pewnego dnia, gdy swoim zwyczajem zapuścił się z bydłem gminy w głąb lasu, pod jednym bykiem zawadziła się ziemia. Zajrzał w otwór i dostrzegł coś błyszczącego. Pomacał biczyskiem — dźwięk kruszczu dał się słyszeć. Rozkopał i miał przed sobą dół, pełny broni. Zamyślił się pastuch mocno, aż o bydle zapomniał. Zmiarkował odległość smolarni i mieszkania Żurby od miejsca odkrytego przez siebie i doniósł wójtowi, ten zaś — naczelnikowi powiatu.

Miał potem Żurba gości. Przetrząśnięto mu wszystkie kąty, a następnie uwięziono. Pana marszałka, chlebodawcę Żurby, osadzono również w kozie.

Biedna Żurbina! Opuszczona była z czworgiem dzieci nieletnich i w niemej rozpaczy, że męża od niej na zawsze oderwano. Przedtem żyli dostatnio. Żurba pobierał, razem za zarząd lasów i pędzenie smoły, ośmset rubli, a przytem jeszcze dwa procenty od dochodów dostarczanych dziedzicowi. Niskie to były odsetki, a dochód raz podnosił się, drugi raz opadał. Honoraryum więc starczyło tylko na zaspokojenie potrzeb. Żurba nie miał zmysłu przezorności, na dni wyczerpania się sił prawie nic nie odkładał, ani majątku nie robił. Inni ludzie, będący na takiem samem stanowisku, co on, opuszczali swych chlebodawców z pełnemi kiesami, a potem brali w dzierżawę majątki, płacąc wysokie czynsze. Za to powszechnie o nich mniemano, że wzrost swój kradzieży zawdzięczali. Niejeden chlebodawca, wiedząc nawet, że jest okradanym, nie mógł się oprzeć urokowi, jakim podobni oficyaliści byli otoczeni, uwielbiając sprytowi i dzielności. Pociąg do nich równał się pociągowi względem żyda — arendarza — oszusta. W czasie herbaty, obiadu i wieczerzy gadano o nich po pałacach ze wstrętem, wystawiając sobie ich grubość obyczajów i nieuczciwość, a jednak ilekroć oko w oko z nimi stanęli, rozbrajani byli płaszczeniem się tych ludzi i jakiemś szczęściem praktycznem. Znać zaradność takiego oficyalisty względem siebie dawała dziedzicom tępym rękojmię dobrego prowadzenia ich własnych interesów?..

Żurba nie kradł i był hardy. Zawsze sumiennie i często zdawał rachunki, więc gdyby naraz utracił posadę, rychło popadłby w nędzę, a jeśliby umarł, żonę i dzieci spotkałby los opłakany.

— Pani łaskawa powinnaby się zająć dolą żony i dzieci Żurby — napomknął raz ktoś dziedziczce.

— Za wielkie wymaganie! Cóż my, *obywatele*, winniśmy, że „ekonomczuki“ sprowadzili nieszczęście na kraj? Nawarzyli piwa, niech piją!

Tak odpowiadała pani marszałkowa, wychowana niegdyś u sióstr „Sercanek“ w Krakowie. Kazała jednak dawać żywność rodzinie Żurby ze swych spichrzów i spiżarni, bo ulękła się opinii ogółu. Żurbina gorzkie i smutne chwile przeżywała, pognębiona i zapłakana ciągle. Dzieci starsze dorastały, należało do szkół je oddać, a nie było za co. Starszego syna miała ochotę wziąć na wychowanie bratowa, ale od chwili, jak starsza córka Żurbiny, skończywszy u niej pensyę, umarła z suchot, bała się, czy to samo nie spotkałoby i syna. Widziała, jak dzieci z dniem każdym obłachmaniały się; że nie mogła takich łachów, jak przedtem, sprawić im sukie-

temi żaglami ku ziemiom nieznanym. Świeżo rozpoczęta sesya z nową Izbą, nowym gabinetem, nowym prezydentem Respubliki—w pełnym biegu. Spiętrzyły się już nawet pierwsze fale trudności, których nie zbraknie w dalszej drodze...

Odjazd atoli w tę podróż parlamentarną był bardzo obiecujący. Przyświecały mu różowe blaski jutrzenki—przecież to początek nowej kadencyi—sam wielki mistrz ceremonii błogosławił odjeżdżających, a publiczność zebrana na brzegu i cały tabor podróżny bił gorące oklaski załodze i kapitanowi tej nawy republikańskiej, gdy naczelny jej sternik wyłożył zgromadzonym cel nowej wyprawy.

Mówmy jednak bez przenośni. Sesya rozpoczęła się odczytaniem ogólnikowego orędzia Grevego. Rzeczywistym zaś programem rządowym była deklaracya, wygłoszona nazajutrz przez nowego prezesa gabinetu p. Freycinet. Według niej rząd postara się przywrócić zachwianą karność w szeregach biurokracyi republikańskiej (wybory!), kler katolicki energicznie powściągnięty będzie w swych wrogich względem Respubliki zabiegach, budżet uporządkowany bez zaciągania nowej pożyczki i bez nakładania nowego podatku, wiele spraw bieżących zostanie załatwionych—a wszystko to tylko na początek! Tak jest, na początek, gabinet bowiem wyraźnie dał jeszcze do zrozumienia, że pracować będzie nad przygotowaniem nieodzownego w przyszłości oddzielenia kościoła od państwa, że zajmuje się wprowadzeniem postępowego podatku od dochodu... Prócz tego p. prezes gabinetu wypowiedział jeszcze kilka zdań, niesłyszanych zwykle z ław ministeryalnych, że Rzeczpospolita nie może stać bezwładnością itd.

Deklaracya ta została doskonale przyjętą przez całą Izbę; na skrajnej lewicy oklaskiwano ją nader gorąco, a Rochefort pisał nazajutrz, że raz przecie wystąpił gabinet, który coś zapowiada, i życzył mu powodzenia. Przyjęcie to świadczy najlepiej, jak niewymagający są radykaliści francuscy, a jednocześnie, jak rzadko trafia się we Francyi gabinet z jasnym programem, niezasadzający całego swego zadania na stawianiu tamy dążeniom reformatorskim. Punkt ciężkości rządów republikańskich od samego zaprowadzenia trzeciej Respubliki przenosi się wciąż coraz bardziej na lewo i nie wiadomo, na jakiej skrajnej krawędzi się zatrzyma. Zachodzi wszakże pewna obawa, ażeby i teraźniejszy gabinet, który w swej deklaracyi wykazał wiele politycznego zmysłu, nie zużył się — jak poprzednie — na niepopularnych drobnostkach. Przy samym wstępie do obecnego okresu parlamentarnego mówiono wiele o amnestyi. Skrajna lewica zawarła nawet za tę cenę rodzaj przymierza z umiarkowaną partyą republikańską, obiecując zaniechać wniosku o oskarżenie Ferrego. Zgodziła się na to w zasadzie cała lewica, uchwalę tę nawet osobna deputacya przedstawiła w swoim czasie — bezskutecznie—poprzedniemu gabinetowi... Sprawa tedy amnestyi za przestępstwa polityczne i prasowe była dojrzałą. Skoro tylko zebrał się gabinet, podniesiono ją znowu; niektórzy z ministrów przemawiając za nią, większość jednak oględnie cofnęła się, pozostawiając nowo obranemu prezydentowi Rzeczypospolitej dobrą sposobność rozpoczęcia nowego okresu swej władzy. Grevy skorzystał z tego istotnie, uciekł się jednak do półśrodka; zamiast bowiem amnestyonować, ułaskawił *pewną* liczbę więzionych. Ułaskawienie przywraca tylko swobodę, nie przywracając praw politycznych, nadto skrajna lewica zobowiązała się wobec swych wyborców postawić w Izbie żądanie amnestyi całkowitej i nieograniczonej.

Rząd tedy połowicznością wytrącił sobie z rąk popularny środek, Rochefort zaś, w imieniu skrajnej lewicy postawił w Izbie wniosek o amnestyę i uzyskał wotum nagłości większością trzech głosów. Zapowiadano, że gabinet zajmie w tej sprawie stanowisko obojętne, pozostawiając Izbie uzupełnienie łaski prezydyalnej. Ministrowie jednak nie wytrzymali i w toku rozpraw zabrał głos Goblet, znany z zakazu *Germinala* Zoli na scenie, oświadczając, że gabinet sprzeciwia się stanowczo amnestyi. Dzięki temu wystąpieniu, ministeryum znalazło się w pierwszym dniu obrad w mniejszości. Nieszczególny początek. Nieprzejednani, widząc, jakie jest usposobienie dla popieranej przez nich sprawy w kołach rządzących i oportunistycznych, wstawili w swój wniosek o amnestyi wykroczenia podczas ostatnich wyborów, przez co zyskali poparcie prawicy. W dodatku Goblet nietaktownem przemówieniem tak ją rozdrażnił, że cała prawie głosowała za Rochefortem i przyczyniła się do jego zwycięstwa. Jest to wprawdzie dopiero uchwała, tycząca się nagłości, nie przestaje atoli być dla całego tego zajścia charakterystyczną.

Wniosek Rocheforta obejmuje również arabów, skazanych w kilku rozruchach między rokiem 1865—1880. Podczas obrad podnosiły się głosy, protestujące przeciwko stawianiu arabów algerskich na jednej linii z obywatelami francuskiemi. Ci ostatni—to właściwie przestępcy państwowi, tamci polityczni.. Jeden z posłów algierskich (nie arab oczywiście) i sam minister odpowiadali w Izbie, że arabowie dopuścili się najokrutniejszych morderstw, że na żadne względy nie zasługują itd. Zarzuty te zbił Rochefort następnie, wykazując, że ci z pomiędzy arabów, których przekonano o jakieś morderstwo, skazani zostali na karę śmierci, deportowani są zaś ci tylko, których skazano za samo uczestnictwo w buntowniczym ruchu... Gdy redaktor *Instransigeanta* przebywał w Nowej Kaledonii, po komunie, spotkał tam ośmdziesięciu arabów—odarci ze wszystkiego (wielu od lat już piętnastu) pokutowali za udział w ruchu, którego pobudki i przyczyny istotne nie zostały dokładnie zbadane.

P.

Z RUSI HALICKIEJ.

Lwów, 23 stycznia 1886.

Ostateczny los wniosku Romańczuka.

A więc komedya skończona! Uchwałą z d. 19 stycznia wniosek Romańczuka w sejmie lwowskim został ubity. Po tych głośnych rozprawach, mniej lub więcej świetnych przemowach, uroczystych zapewnieniach, że odtąd sprawa rusińska musi posunąć się o krok naprzód i dotychczasowe zło musi być choć w części naprawione, sejm wreszcie postanowił: zostawić wszystko po staremu a rusinów zbyć byle czem. Bo rzeczywiście powzięte d. 19 stycznia uchwały mają wcale niewielką wartość praktyczną. I tak pierwsza dotycząca szkół ludowych, brzmi:

„Jeżeli w jakiej miejscowości o mieszanej ludności, używającej w części polskiego a w części rusińskiego języka jako towarzyskiego, ludność, której język nie jest wykładowym w żadnej z miejscowych szkół ludowych, stanowi co najmniej

---

nek, miała serce ściśnięte. Mózg świdrowały myśli rozpaczliwe, głowa się chwiała, ciężka, na piersi kamień legł i sen nocami odlatywał.

Żurba tymczasem w więzieniu drugi rok siedział. W starych celach dawnego klasztoru było wilgotno, więc gościec rozwinął się w mięśniach i szarpał je boleśnie. Lewa noga i ręka była szczególnie dotknięta. Z pomiędzy wszystkich więźniów, Żurba najczęściej wygniatał pościele łóżek szpitalów więziennych. Niczego mu nie dowiedziono i mógłby być wolnym, lecz potrzebowano poręki, a nikt jej nie dawał. Dziedzic obiecywał ją, ale dogorywając z suchot izdebna kręgowego, zapomniał. Współtowarzysze więzienni wracali do rodziu, szczęśliwi, on zaś, samotny i gnębiony tęsknotą za żoną i dziećmi, siedział jeden.

IV.

Wrócił z brzemieniem pięćdziesięciu dwóch lat przeżytych, z reumatyzmem w ciele, z goryczą w sercu, złamany na duchu. Znalazł żonę wynędzniałą, z oczami od łez wypłowiałemi, dzieci licho odziane, a sprzęt każdy ubóstwem napiętnowany. Pan marszałek już nie żył, pani marszałkowa zaś zaprowadzała oszczędności, chcąc oczyścić majątek z długów, zaciągniętych przez męża. Dawne swoje miejsce nadleśniczego zastał zajętem przez kogoś innego.

Dano mu posadę dozorcy nad smolarnią, z trzystu rublami płacy. Jako zaś smolarz, był zależnym nie od chlebodawcy bezpośrednio, lecz od nadleśniczego. Ten był młody jeszcze, bo miał dwadzieścia ośm lat zaledwie, Żurba zaś, co doszedł pięćdziesięciu dwóch, pod jego zwierzchnictwem zostawać musiał. Bolało go to. Piętnaście lat sam zajmował tę posadę, zaprowadził ład w lesie, nadał kierunek gospodarstwu, a teraz przybysz z dalekich stron, „młokos," na wytkniętej już drodze z łatwością będzie pracował. Rozżalony, czekał niepowodzeń swego następcy. Nie doczekał się jednak, bo Gargulski, choć młody, był człowiekiem zręcznym. Brał niską pensyę, lecz ciągnąc z lasów dochód dla dziedziczki, pamiętał i o sobie. Ślady zaś kradzieży zacierał zręcznie, prowadząc odpowiednio rachunki przychodów i rozchodów. Gadano o tem chlebodawczyni, lecz Gargulski był ładnym chłopcem i wkrótce zyskał nad nią wpływ wielki...

Żurba zaś prawy i hardy, jak zwykle, z żoną i czworgiem dzieci pędził smołę za trzysta rubli rocznie. Coraz bardziej posępniał, gdy porównywał dawne swoje położenie z obecnem, pierwszą służbę u Wirszajłły, czasy dzierżawy w Żydkowicach i chwile zarządu lasami Zazorskich. Dawniej znaczył więcej niż teraz. W miarę przybywania dzieci, czuł się zależniejszym. Dziedziczka krzywo patrzała na ludzi z rodziną, wolała bezżennych, bo mniejszą płacą zbyć ich łatwiej było. Ilekroć zadraśnięto go w dumie, żalił się:

— Gdyby nie żona i dzieci, ruszyłbym w świat! Ślubu przecież nie brałem z marszałkową... Dużo jest lepszych na świecie miejsc...

Wyobrażał sobie szerszy świat lepszym i snuł tęczowe obrazy, a serce mu spieszniej uderzało i płuca głębiej się otwierały na przyjęcie powietrza.

Z wiekiem coraz większym pedantem się stawał w wykonywaniu pracy. Doznawał wielkiej rozkoszy, gdy gruntownie i dokładnie cokolwiek mógł zrobić. Szczególnie w budowaniu wszelkiem ujawniała się ta cecha jego charakteru. Za to powoli dobiegał do końca, wywołując niezadowolenie zwierzchników.

— Ależ to niedołęga jakiś! — wyrażała się o nim dziedziczka. Naraża mię na stratę czasu i koszty zbyteczne!

Odbudowując smolarnię, koniecznie dążył do tego, żeby podobną była do dawniejszej. W czasie jego nieobecności, żyd jakiś sklecił na prędce „smolarkę" taką, w której ani dachu nie było, ani ścian. Na ro-

czwartą część ogółu jej mieszkańców, w miejscowościach zaś z ludnością wyżej 12,000 dusz, sięga do 3,000 dusz, a znajduje się tam dwie lub więcej szkół ludowych dla dzieci jednej płci, to przynajmniej w jednej szkole, a w razie jeżeli istniejąca jedna tylko szkoła posiada klasy o współrzędnych oddziałach, to w nowoutworzonych tego rodzaju oddziałach wykładowym winien być język tej drugiej części ludności, o ile z dochodzenia w myśl ustawy przedsięwziętego i wskutku zapisów do szkoły się okaże, że w gminie przebywa dostateczna ilość rodziców, którzy pragną, swe dzieci w wieku obowiązanym do szkoły będące, posyłać do takiej szkoły lub takich oddziałów.“

Żeby to przetłomaczyć z dokładnego na zrozumiałe, wezwijmy statystykę szkół ludowych w Galicyi. Wedle wykazów Rady szkolnej krajowej mamy w Galicyi 1212 szkół ludowych z językiem wykładowym polskim, 1,376 z rusińskim, a 86 mieszanych. Zważywszy, że ludności, używającej polskiego języka w Galicyi, wedle ostatniego (grubo pofałszowanego) spisu jest 3,058,400 głów, a używającej języka rusińskiego tylko 2,549,707, zdawałoby się, że pod względem językowym nie rusińskie, lecz polskie dzieci są pokrzywdzone. Tak jednak nie jest, gdyż największa część polaków w Galicyi wschodniej mieszka w miastach i miasteczkach, gdzie szkoły ludowe są cztero lub sześcioklasowe i nadzwyczaj licznie uczęszczane; wszystkie zaś te miejskie (z wyjątkiem jednej, niedawno po ciężkich przeprawach we Lwowie przez rusinów zdobytej) mają język wykładowy polski. Zdarza się więc tak, że miasteczko, jak np. Horodenka, w którem na 11,011 mieszkańców jest 5,840 rusinów, tj. więcej niż żydów i polaków razem wziętych, niema szkoły rusińskiej. Nowo przyjęta ustawa nie będzie się więc odnosiła do wsi, lecz jedynie do miast i miasteczek i ogranicza dawniejsze rozporządzenie ustawy, że o języku wykładowym w szkole ludowej rozstrzyga ten, kto ją utrzymuje. Ponieważ w miastach i miasteczkach czyniła to i czyni dotychczas zwykle rada miejska, rady miejskie zaś prawie wyłącznie składają się z polaków i żydów, przeto nową uchwałą sejmową wola ich o tyle będzie ograniczoną, że prawa ludności rusińskiej, nawet niemającej w radach miejskich swej większości ani swych przedstawicieli, na tej drodze będą zawarowane. Dla rusinów uchwała ta oznacza przybytek kilkunastu szkół lub klas równoległych — zdobycz wcale nie wielka. Mimo to jednak posłowie rusińscy w całkiem należytem zrozumieniu swego zadania przyjęli i to więcej niż skromne ustępstwo, przekonywając tem dowodnie, że im nie szło o czcze demonstracye i waśnie, lecz o realne, chociażby i najdrobniejsze korzyści dla swego narodu. Co mówię—„przyjęli!“ Uchwała zapadła 65 głosami przeciw 58; rusini głosowali za nową ustawą i właśnie ich głosy rozstrzygnęły; bez nich wniosek byłby upadł zupełnie.

Daleko ważniejsza i donioślejsza część wniosku p. Romańczuka dotyczyła szkół średnich, mianowicie gimnazyów. Żądał on z początku oddziałów równoległych z rusińskim językiem wykładowym tam, gdzieby znalazło się najmniej 25 uczni rusinów w jednej klasie; później, opierając się na wniosku rządowym, zażądał zaprowadzenia drugiego rusińskiego gimnazyum w Przemyślu. Jedno i drugie żądanie sejm odrzucił, uchwalając natomiast, że „w szkołach średnich lub ich oddziałach z językiem wykładowym rusińskim nauka języka polskiego, a w szkołach średnich lub ich oddziałach z językiem wykładowym polskim, nauka języka rusińskiego jest *względnym obowiązkiem*, w tem znaczeniu, iż na wyraźne żądanie rodziców uwolnić należy każdego ucznia od pobierania nauki drugiego języka krajowego, nie będącego dla niego językiem wykładowym.“ Dotychczasowa ustawa mówiła, że uczyć się rusińskiego języka i rusińskiej literatury w gimnazyach ma tylko ten uczeń, którego rodzice przy wpisie wyraźnie to zastrzegą; teraz zaś uchwalono, że uwolnionym od nauki rusińskiego będzie tylko ten, którego rodzice takiego uwolnienia wyraźnie zażądają. Czy i jaka będzie praktyczna doniosłość tej zmiany—czas pokaże.

Z rozpraw nad wnioskiem Romańczuka wyłonił się jeszcze, jak już wspominałem, wniosek p. Małeckiego o dwoistości w szkołach średnich. Wniosek ten prawie jednogłośnie został odesłany do wydziału krajowego, który ma go wspólnie z radą szkolną bliżej rozpatrzyć i na najbliższej sesyi sejmowej przedstawić sejmowi pozytywne wnioski w tej mierze. Tak więc sprawa rusińska i nadal jeszcze nie zejdzie z porządku dziennego.

I. Franko.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zaledwie dyplomacya europejska jako tako uporała się z Serbią i Bułgaryą, kiedy oto występuje znowu Grecya i zaczyna warzyć burząco się piwo. Rząd ateński prowadzi dalej uzbrojenia i oświadcza, że w razie uznania unii bułgarskiej upomni się stanowczo o prawa narodu greckiego. Dla uspokojenia tych zachcianek Anglia przyjęła na siebie rolę surowego opiekuna i oświadczyła, że flota brytańska wystąpi przeciw Grecyi, jeżeli ta nie zaprzestanie uzbrojeń. Prezes gabinetu Delyanis odpowiedział, że nie może iść wbrew woli narodu i wydał natychmiast rozkaz, żeby flota wypłynęła na morze. Krok ten uważano zrazu za wojowniczą demonstracyę, okazuje się jednak, że był on tylko środkiem ostrożności; przezorni grecy obawiali się bowiem, żeby anglicy nie zamknęli ich okrętów w portach i nie zniszczyli floty, zwłaszcza że najnowsza historya przedstawia kilka przykładów podobnego postępowania Anglii. Na prowadzenie wojny grecy nie odważą się; pragną jednak wikłać stosunki i szerzyć niepokój, sądząc, że albo wytargują co w ten sposób, albo też wywołają powszechną zawieruchę, podczas której urwą jaki kawałek „odwiecznego dziedzictwa helenów.“ Laury Milcyadesa bułgarskiego odbierają sen Temistoklesom nowogreckim. Rząd ateński tem śmielej prowadzi swoją politykę, że może liczyć na poparcie niektórych państw. Pomimo bowiem zapewnień o zgodzie mocarstw, Francya i Włochy zajęły odrębne stanowisko i oświadczyły, że nie zgadzają się na wystąpienie zbrojne Anglii; to samo zdanie wypowiadają organy stronnictwa liberalnego angielskiego, które lada dzień przyjść może do władzy.

Serbia wyrzekła się wojowniczych zamiarów. Austrya, która pobudzała ją do zbrojnego napadu, zmieniła front i groźbą nakłania do pokoju. Ponieważ Turcya, która przy układach działa w imieniu Bułgaryi, nie domaga się ustępstw terytoryalnych i zrzeka wynagrodzenia, pokój zawarty na warunkach powrotu do poprzedniego stanu rzeczy uważany być może jako bardzo korzystny dla Serbii. Pełnomocnik bułgarski przebywa w Konstantynopolu i prowadzi układy z Portą. Sprawa unii w zasadzie została zatwierdzoną, idzie tylko o szczegółowe punkty, co do

---

botników lał deszcz, padał śnieg, kiedy cylindry naładowywali łuczywem. Z przodu gorąco im było od pieców, a z tyłu wiatr mroźny dął w plecy. Klęli żyda. Żurba zaś zbudował gmach duży, o ścianach przetykanych mchem, żeby niepogoda nie dokuczała najemnikowi. Pociągało to za sobą koszty i niezadowolenie Gargulskiego.

— Niech pan nie zapomina — strofował Żurbę — że pani marszałkowa nie życzy sobie pałacu, lecz smolarni! Po co ten gmach? Patrzcie państwo, ściany jakie, a dach! Toć kosztuje!

— A ja radzę pamiętać o robotnikach! Wszak to ludzie, nie bydło? Sam także muszę doglądać roboty, a nie chciałbym się wystawiać na mróz i deszcz. Wreszcie nawet proces pędzenia smoły wymaga dachu i ścian. Czy będziesz pan miał dobrą terpentynę, gdy każdą kadź deszcz obleje lub gołoledź zetnie? Rury — to miedź, a obręcze są z żelaza? Wilgoć je prędko w niwecz potrafi obrócić!

Zwierzchnik odjeżdżał zły i przekonany.

Liche wynagrodzenie dokonywało swego. Żurbowie żywili się nędznym pokarmem: słonina, mączne strawy i mleko przeważały w ich posiłku, choć często i tego brakowało. Mięso wołowe bardzo rzadko jadali, bo rzeźnicy z sąsiedniego miasteczka nie chcieli już kredytować, za dużo posiadając kwitów. Tak samo było z cukrem, herbatą, świecami, naftą i tytoniem. Ponieważ Żurba brał je na kredyt, więc żydzi z obawą dawali, a czasem zgoła nie udzielali. Ciężar smutku przygnębiał wtedy tę biedną rodzinę. Zamiast świec i lampy, żarzyły się węgle na kominku lub paliły się cienko łupane listewki sosnowe, wetknięte gdzieś w szparę ściany. Zamiast herbaty z cukrem, pijali cząber, dziewannę lub odwar gorzkawy, barwy kawowej, ze spalonych skórek od chleba, z miodem. W braku tytoniu Żurba wydobywał stare, pajęczyną powleczone, łodygi tytoniu domowego, szatkował je i palił. Gdy pyknął kilka razy, twarz jego się wypogadzała. Z czasów dobrobytu pozostało im kilka krów, jałówek, buhaj i dwa konie. Była to pociecha w niedoli dla Żurbiny, ale nie na długo. Buhaja, dwie krowy i trzy jałówki żydzi zabrali za długi, została tylko jedna bura krowa i dwa konie, z nich jeden zdechł później. „Bura“ nawet w zimie miała zawsze wymiona nabrzmiałe mlekiem, za co strzegli jej, jak oka w głowie, jak prawej ręki. „Siwy,“ nosił im drwa i siano. Raz w zimowy, mroźny i o krwawej tarczy słońca poranek nie stało konia: leżał u żłoba zimny i odęty. Żurbina łkała. W sercach wszystkich taki smutek i ciemność zaległy, jak po stracie kogoś ukochanego z rodziny.

Z odzieżą było nie lepiej. Z sutego niegdyś futra niedźwiedziowego Żurby przez lata, skutkiem przeróbek częstych, w miarę zużywania się, powstał kusy, o wytartej sierści kaftan, nawatowany w rękawach. Podobne przemiany i salopa Żurbiny, niegdyś lisami podszyta i z wierzchem porządnym, przechodziła. Dzieci, zamiast dawnych, wdzięcznych sukienek i bócików, chodziły w parcianych spodniach, zgrzebnej koszuli i w łapciach. Kiedy na to matka patrzała, łez powstrzymać nie mogła. Sługi nie mieli za co trzymać, więc sama jeść gotowała i często w mróz, wątła i szczupła, bosa, na lodzie, zginając się nad przeręblą, bieliznę prała. Robotnicy ze smolarni nosili wodę i drwa, lecz często słuchać nie chcieli, odpowiadając gburowato. Żurba łajał i gderał ich za to swym przytłumionym, nie z głębi płuc wydobytym głosem. Szli posłużyć, niechętni.

(D. n.).

Z. (Komar) Pietkiewicz.

których łatwo już nastąpić może porozumienie. Pomyślnemu zakończeniu sprawy pomaga, nie wiadomo z jakiego źródła płynąca i na czem oparta, sympatya turków i sułtana dla Bułgaryi. Obie strony zgodziły się również, że wrazie wojny z Grecyą lub Serbią wojsko bułgarskie działać będzie wspólnie z tureckiem, nie wiadomo tylko, czy warunek ten podoba się Rosyi lub Austryi.

W stosunkach z Rosyą książe Aleksander okazał się zręcznym dyplomatą, przyjął on bardzo grzecznie ambulans Czerwonego Krzyża i dziś już *Graždanin* zapewnia, że waśń była skutkiem złośliwych plotek. Jednocześnie dzienniki donoszą, że do Sofii jedzie adjutant Cesarza Aleksandra III z własnoręcznem pismem Monarchy rosyjskiego do księcia. Wreszcie jakby dla ułatwienia pojednania Karawełow podaje się do dymisyi. Ta ostatnia wiadomość potrzebuje wszakże potwierdzenia.

Królowa angielska osobiście otworzyła parlament, czego nie czyniła od lat wielu; postępek ten przypisują szczególnym względom dla gabinetu zachowawczego. Mowa tronowa obiecuje cały szereg reform wewnętrznych, krótko tylko wspominając o polityce zagranicznej. Rząd odrzuca wszelkie projekty autonomii irlandzkiej, chociaż obiecuje pewne ustępstwa w sprawach samorządu miejscowego. Zmiany te wspólne będą zresztą dla wszystkich krajów trójjedynego królestwa. Natomiast gabinet zapowiada stosowanie surowych praw przeciw stowarzyszeniom tajnym, do rzędu których p. Salisbury pragnie zaliczyć również ligę narodową i w tym celu zamierza wystąpić z osobnym wnioskiem w parlamencie. Gladstone i Parnell w odpowiedzi na ten ustęp adresu zaznaczyli tylko odrębne swoje stanowisko, nie wdając się w polemikę. Wstrzemięźliwość taką łatwo można wytłomaczyć: przywódcy liberalnych i irlandczyków wiedzą, że w każdej chwili, kiedy zechcą, mogą wspólnemi siłami obalić gabinet dzisiejszy, poprzednio jednak muszą porozumieć się między sobą. Dopóki opozycya nie zgodzi się na jednakowy program co do Irlandyi, nie warto obalać rządu, bo taki krok niepotrzebny mógłby tylko wyjść na korzyść konserwatystów.

Posiedzenia sejmu czeskiego zamknięte zostały 21 stycznia; podczas ostatniej sesyi był on widownią zażartych sporów narodowościowych. Jedyny dodatni rezultat obrad stanowi przyjęcie wniosku, określającego słuszne prawo ludności do używania w sądzie mowy ojczystej.

LITERATURA I SZTUKA.

MICHAŁ CZAJKOWSKI.

I.

Przed kilku dniami telegraf przyniósł wiadomość, że 80 letni starzec, Michał Czajkowski, znany również pod nazwą Sadyka-paszy odebrał sobie życie. O przyczynach, które skłoniły go do tego kroku, różne obiegają pogłoski, każda zaś z nich dostatecznie tłomaczy samobójstwo, które zresztą bynajmniej nie świadczy „o szczególnej w tym wieku żywotności duchowej.“ Jeżeli samobójstwo 80 letnich starców zdarza się rzadko, to dla tego jedynie, że niewielu ludzi dochodzi takiego wieku, procentowy wszakże stosunek samobójców jest w tym okresie życia najwyższym.

Już przed trzema laty, pisząc w *Prawdzie* o politycznych występach Czajkowskiego w *Rusi* *), zauważyliśmy, że „ci, co pamiętają w nim tylko autora *Wernyhory*, potępiają go, my jednak widzimy tu wcale nie apostazyę, ale objaw zupełnie naturalny, logiczny wynik poprzednich jego poglądów,“ teraz zaś, ponieważ mówimy już nie tylko o polityku, ale i o człowieku, dodamy: „i całej jego natury.“ Jako człowiek i jako pisarz Czajkowski przedstawia dziwne zjawisko: nie jest on bynajmniej ani polakiem, ani słowianinem nawet, ale prawdziwym mieszkańcem Wschodu, nieodrodnym potomkiem tych ludów, które niegdyś siedziały na czarnomorskich stepach. Jakiś niezbadany kaprys dziedziczności rasowej rzucił tego „człowieka Wschodu“ w otoczenie cywilizowanego społeczeństwa.

W organizacyi duchowej Czajkowskiego od lat najmłodszych przebijają się wyraźne cechy wschodnie: fantazya wybujała, ale czysto zmysłowa, skłonność do kontemplacyi, poszanowanie dla siły i powagi. Z licznej emigracyi polskiej, rozproszonej w państwie tureckiem, on jeden zbisurmanił się szczerze i prawdziwie, jeżeli zaś później zwrócił się do Rosyi, to dla tego jedynie, jak sam objaśnia, że przylgnął do tej partyi rosyjskiej, która jawnie i otwarcie przeciwstawia cywilizacyę wschodnią — zgniłemu europejskiemu Zachodowi. Według zwierzeń jego w *Rusi*, katolicyzm oderwał polaków od Wschodu, do którego należeli z pochodzenia, z obyczajów, z przeszłości, z woli bożej, i rzucił ich nie w objęcia, lecz pod nogi Zachodu. Nie bezrząd był przyczyną upadku, ale brak podstaw, które mógł dać tylko Wschód; powrót do jego wiary i obyczajów, do zerwanej w mgle wieków tradycyi jest dzisiaj jedynym środkiem zbawienia.

Czajkowski snuje nieraz takie pomysły, iż zdaje się, że nie tylko urodził się przed stu laty, ale okresu tego nie przeżył, nie wie nie rozumie i zrozumieć nie chce tego, co się około niego dzieje. Pomimo ośmioletniego pobytu w Rosyi, sądzi w 1878 r., że państwo to jest kopią Turcyi, albo też niezmienioną w niczem odbitką czasów Pawła I-go, nie pojmuje, że narodowość rosyjska posiada już wyrobioną świadomość swej siły i odrębności, że polityka państwa, pomimo tych lub owych zmian w sferach rządzących, służy zawsze mniej lub więcej odpowiednio celom narodowym. Jemu się zdaje, że wzajemne obcowanie obywateli rosyan i polaków rozstrzyga sprawę, że gdy p. Janowski będzie polował, tańczył i upijał się z p. Iwanowem, to antagonim polityczny i narodowy zniknie. Czajkowski oryginalnie zapatruje się na sprawę pojednania: nie cieszy go bynajmniej spokojna praca społeczeństwa polskiego, owszem pojednanie popiera on dla tego, że wyrwie ono szlachtę z handlowo-przemysłowej sfery, otworzy jej dostęp do działalności wojskowej. „Bo i co to za Polska bez ułanów?“ zapytuje naiwnie. Rzeczywiście, dla niego po za szablą i kontusze, po za ułanem i koniem—polskość nie istnieje wcale, zawiera się ona w tych tylko zewnętrznych oznakach. Dajcie mu dobrego konia i szablę, nasunie rogatywkę na ucho i huknie: jeszcze nie zginęła.

Powinien on był lubić żydów, jako przedstawicieli rasy wschodniej, w rzeczywistości jednak nie cierpi ich, ale tych tylko, którzy przybierają pozory europejskie. Za to do żydków berdyczowskich z pejsami i w chałatach czuje dziwną sympatyę. Wprawdzie z przyjemnością opowiada, jak ich wieszano w czasie powstania 30 r., ale jedno drugiemu nie przeszkadza.

Zamiłowanie do koni dochodzi w Czajkowskim do tego stopnia, że staje się prawdziwym kultem czworonogich bóstw. Szlachcic lubi swego wierzchowca, chłop swoją jedyną szkapę, ale Sadyk-pasza ubóstwia konie, jak kochanki, albo daleko więcej, podobnie jak arab lub turek. Pisze on całe rozprawy o swych koniach, w powieściach zaś jego opis jakiegoś ogiera lub klaczy więcej obfituje w szczegóły, więcej zawiera uczucia, aniżeli charakterystyka bohatera lub bohaterki opowiadania.

My ludzie nowych czasów i kultury europejskiej pojąć nie możemy tego zażyłego obcowania człowieka z koniem i coś podobnego znajdujemy tylko w stepach Arabii lub Azyi środkowej, pomiędzy koczowniczymi beduinami lub turkmenami. Człowiek pierwotny występuje w Czajkowskim nietylko w tym szczególe—jest on azyatą w fantazyi bujnej a przesadnej, przypominającej baśnie wschodnie, w wyrażeniach rażących smak nasz potwornemi hyperbolami, w poglądach wreszcie, które bez względu na ich treść dowodzą, że myślał on innemi kategoryami, aniżeli my wszyscy. Polskość jego była po prostu rzeczą wypadku; nieodrodny ten potomek połowców i pieczyngów, których resztki wsiąkły w narodowość ukraińską, pisał po polsku, bo języka tego nauczono go w dzieciństwie, działał jako polak, bo wychował się w tem otoczeniu, ale pomimo tych znamion zewnętrznych pozostał zawsze człowiekiem Wschodu, wierny instynktom swej rasy. Nietylko duchowo, ale i, że tak powiem, antropologicznie nie był on polakiem, nie był nawet słowianinem lub europejczykiem, zwłaszcza zaś XIX stulecia. Idee wieku, kultura nowożytna nie miały nań żadnego wpływu, nie rozumiał ich wcale, nie mógł zrozumieć ten zapóźniony barbarzyńca.

Pomimo że żył w Turcyi w ciągu lat kilkudziesięciu, nie pojmował aż do śmierci tego, o czem rozprawia dziś lada dziennikarski reporter. Upadek teraźniejszy państwa otomańskiego objaśnia np. w ten sposób, że gdyby Newret-pasza utrzymał się, byłoby wszystko inaczej, ale zamiast Newreta przyszedł Midhat—stąd katastrofa. Ruch słowiański myślał on zażegnać za pomocą projektu ogłoszenia sułtana dziedzicznym panem ziem serbskich, jako potomka w żeńskiej linii dynastyi Nemaniczów.

Zauważyliśmy już poprzednio, że nie umiał ocenić doniosłości tych zmian społecznych a politycznych, jakie zastał w Rosyi, i wielki spór narodowy, którego od lat stu załagodzić nie mogą najwybitniejsi przedstawiciele obu stron, sprowadzał do zwykłej waśni, polegającej na tem, że szlachta polska dąsa się na rząd i szlachtę rosyjską, wskutek czego nie chce służyć w ułanach i innych rodzajach kawaleryi, natomiast zaś od czasu do czasu urządza sobie ruchawki. Nie tak jasno może formułuje swoje zdanie Czajkowski, ale uważny czytelnik jego wyznań o „kwestyi polskiej“ i anegdotycznych opowiadań, zgodzi się ze mną, że w istocie takim jest pogląd Sadyka-baszy. Rozumowania jego są nadzwyczaj dziwaczne: upadek Turcyi przypisuje on zmianie baszów, a o żydach np. twierdzi, że już z chwilą przybycia swego do Polski byli agentami niemców, którzy wysłali ich nad Wisłę dla germanizowania słowian. Najulubieńszym argumentem jego w dowodzeniu jest anegdotka, albo—rym. Napisał wyraz: magnaci, poczem wyliczając wyższych dostojników natrafił na—prałatów; magnaci—prałaci rymuje się wybornie, więc ten zbieg końcówek służy mu za podstawę do całej teoryi historyozoficznej, w której nie ma ani sensu, ani prawdy za trzy grosze—ale za to jest rym!

Takim przedstawia się nam jako człowiek Michał Czajkowski. Pomijamy niektóre wady i przymioty jego, które mają znaczenie uboczne i do charakterystyki typu nie należą. Powiadają, że był ambitnym intrygantem, chytrym, zazdrosnym itd. Może, ale wszystkie te strony charakteru odpowiadały jego wschodniej naturze. Wszystkie zmiany religijne, polityczne i inne, przez jakie w życiu przechodził,

*) Nr. 18 r. 1883.

dadzą się wytłomaczyć nieraz powodami formalnymi, ale najlepiej objaśnia je natura tego człowieka. W przejściach tych różnorodnych Czajkowski zawsze pozostawał w zgodzie ze swoją przyrodzoną istotą. Nie można go sądzić jak zwyczajnego człowieka, a tem bardziej jak polityka i myśliciela, jego, który rozumował za pomocą anegdotek lub rymów, który nie pojmował narodowości — bez ułanów, życia— bez koni, cywilizacyi—bez rycerstwa, który za klacz Zulejkę oddałby wszystkie nabytki kultury europejskiej. W dodatku była to natura poetyczna jak wszystkie dzieci Wschodu, a, jak wiadomo, poeci zawsze mają słuszność, chociaż krytyka doktrynerska nie zawsze prawdę tę uwzględnia.

Ostatnią swoją metamorfozę Czajkowski objaśniał z początku kozackiem pochodzeniem i kozackiemi sympatyami; te ostatnie nie ulegają zaprzeczeniu, ale o tyle tylko, o ile kozaczyzna była żywiołem wschodnim, koczowniczem rycerstwem stepowem. Nie bez racyi sam Czajkowski mówi o sympatyach kozackich nie zaś o ukraińskich—należy i nam dwa te pojęcia odróżniać. Później, w *Rusi*, dokładniej już objaśnił zmianę przekonań. Spór polsko-rosyjski, według niego, to jeden z momentów odwiecznej walki między Wschodem i Zachodem. Myśl to nie nowa, wyraził ją nawet świetnie znany filozof rosyjski p. W. Sołowiew, wypowiadali nieraz sławianofile lub też narodowcy polscy. Czajkowski jest o tyle oryginalnym, że sądząc z siebie, dochodzi do wniosku, iż polacy oderwali się od Wschodu i jeżeli chcą uniknąć zagłady, muszą doń wrócić. On wrócił, a raczej nie odrywał się wcale, bo właściwie polakiem był tylko z pozoru. Przeciwieństwa między kulturą Wschodu i Zachodu nie określa, nie rozumie zapewne, ale je czuje wszystkimi popędami swej natury. Jego naturze wschodniej odpowiada misticyzm Aksakowski, który świadomie często, częściej jeszcze bezwiednie jest wyrazem kultury i ducha Wschodu. Czajkowski nie potrafi, jak słowianofile, ująć poglądów swych bodajby w mgliste formuły, ale instynktem lgnie do „samobytnictwa“ moskiewskiego. Nowego nic on powiedzieć nie mógł, powtórzył więc tylko wiązankę dawnych dziwactw, dodał kilka nieznanych anegdotek i w ten sposób stworzył swoje *credo*.

O działalności Czajkowskiego w literaturze polskiej powiemy w następnym numerze.

(D. n.).
W—t.

WSZECHSATYRA.

Był kiedyś poeta, co z nieulęknioną źrenicą urągał gwałtowi silnych, czołganiu się słabych a policzkujące pogardą i szyderstwem słowa rzucał jednym i drugim. Świat osłupiał na widok śmiałka, ulękł się jego tytanicznej siły, zmrużył oczy przed idealną pięknością, ale daremnie zatykał uszy na ostre słowa, albowiem groty te pochodziły z Olimpu, przebijały puklerz głupoty i zaślepienia i więzły w mózgu głęboko. Szlachetniejsi nazywali dzikiego napastnika cherubinem, podli—dyabłem a tłum obojętny—lordem Byronem.

Pół wieku już oddziela nas od czasu, kiedy wielki ten męczennik złości ludzkiej padł w walce za najpiękniejszy niegdyś naród Europy, nieopodal od mogił bohaterów Grecyi, przebrzmiały już u nas i gdzieindziej odgłosy jego liry, której tony podchwytywali najwdzięczniejsi śpiewacy wszystkich ludów. Hymny jego na cześć swobody i piękna rozpłynęły się niewidzialnie dla oka, lub ukryły jak niedostrzeżone sprężyny dziejowego dramatu, które tylko baczny wzrok wtajemniczonego wyśledzi w przewrotach pojęć i myśli ludzkich. Aż tu nagle skromny wielbiciel geniuszu wskrzesił zamarłe rymy i nawołuje nas do słuchania ich, przebranych w szaty swojskie, ojczyste. Czy wszystkie? Nie, te, w których rozpłynęła się szatańska ironia, przeplatany łzami śmiech nad moralną nędzą pyszałków tego padołu, słowem—*Don Juana...*

Czy nie zapóźno, zapyta niejeden, kto utwór ten odłożył już może do antykwarskiej części swego księgozbioru? Bynajmniej. Na zachodzie zrozumiało go niewielu wykształconych; większość albo robi na widok jego znak krzyża, umaczawszy nabożnie niepokalane ręce w wodzie święconej; albo... w najlepszym razie roztwiera usta, hucząc bezmyślną wesołością przy czytaniu cynicznych i lubieżnych wycieczek poety. My uderzmy się w piersi i wyznajmy, że znamy tylko legendowy szkic płochego Don Juana, podniesiony do wartości genialnego dzieła muzycznego, dzięki Mozartowi, a epopeję wygnańca Albionu... z tytułu tylko.

I nie dziw: poezyi polskiej, obce są żywioły przeczące—najwyższym szczytem, na jaki ona w filozofii swej kiedykolwiek się podniosła, był panteizm, w krytyce społecznej—drobna obyczajowa satyra, lecz pierwszy niestety wyradzał się w czczy misticyzm, druga — w okolicznościową bajkę. Od Byrona zapożyczano wiele, ale najmniej rozumiano śmielsze wzloty jego geniuszu i przeto najmniej je przyswajano. Pisarze polscy nie mieli jakoś zmysłu do negatywnego pierwiastku w pojęciach o bóstwie i wszechświecie znali jedną tylko modlitwę: modlitwę chwalby i hołdu dla wszystkiego, co istnieje, więc i od dumnego lorda brali zaledwie jednostajne pieśni na temat erotyki wschodniej, oraz żale na nudy i melancholię. Morawski odważył się spolszczyć Manfreda dla tego tylko, żeby zatrzeć niesmak wywołany cynizmem Goethowskiego Fausta (!), zrozumiawszy albo raczej nie zrozumiawszy obu jednakowo. Nieszczęsna mania wyszukiwania u wieszczów tego co mdłe, idealne, bezkrytyczne a unikania wszelkich objawów ducha niespętanego, wszelkiej głębszej analizy, dziś również mogłaby spłatać nam figla i pokryć milczeniem zmartwychwstanie Don Juana na naszym gruncie piśmienniczym, jeżeli może i potrzebuje zmartwychwstawać to, co z natury swej jest nieśmiertelnem.

Tak jest—Don Juan nie skona nigdy: opiewa on złą grę ucywilizowanych społeczeństw i rządów, na którą przeciętny spostrzegacz życia robi dobrą minę, wydrwiwa niemiłosiernie świętoszkowatość i obłudę, okrucieństwo, barbarzyństwo, ucisk, te wiecznie czynne i nigdy nienasycone furye. Don Juan—to już nie Child Harold, to nie Manfred nawet, nie ody do miłości w rodzaju Paryzyny, lub Narzeczonej z Abydos, nie patetyczne żale nad mękami Bonivara. Ten okres rozwoju duchowego, w którym bolejemy nad czczością życia i pustką w sercu, i puszczamy się w pogoń za wstrząsającemi wrażeniami, minął dla literatury powszechnej;—owo stadyum romantyczne, kiedy każda wytworniej usposobiona jednostka upajała się wonią kadzideł i przepychu tureckiego, i zapuszczała ciekawy wzrok w tajniki haremowe, aby nasycić oczy widokami raju Mahometa, stracił swój chorobliwy urok. Nawet ten protest przeciw ciemiężcy—bóstwu, podniesiony przez Manfreda, nie rozlega się już gromem, bo prometeizm przeszedł w systemat filozoficzny, a porywy tytana przełożono na język rozumowych przesłanek. Wiek dzisiejszy — to już nie mędrzec zapatrzony w czaszkę kościotrupa, otoczony stosem pergaminów i symbolami makrokosmu i mikrokosmu, ukryty na wysokiej wieżycy zamkowej; to skulona postać nędzy, zapatrzonej w pusty garnek, drżącej od zimna w piwnicy, otoczonej cuchnącą atmosferą niedostatku. Tak zwany byronizm podobnież przebrzmiał już u nas jako kierunek dawno, iskry jego tleją jeszcze gdzieniegdzie w egzaltowanej duszy młodzieńca, ale z fali nowych dążeń wieku nie wydobędą się chyba nigdy. Lecz „Don Juan“—to biegun przeciwny westchnień i skarg — to męski, zimny sarkazm na brudne plamy słońc, przed któremi chylimy czoła, plamy coraz większe coraz widoczniejsze; to druga połowa ducha byronowskiego, najmniej pojmowana a najbardziej prorocza, najbardziej dla etyki nowoczesnej znamienna.

Powszechnie nazywają Don Juana poematom politycznym; nawet tak głęboey krytycy, jak Brandes, tego charakteru w nim się dopatrują; ale ani rys ten nie jest w nim wyłącznym, ani tak przeważa, by mianem jego chrzcić cały utwór. Zapewne ówczesnym rządom europejskim dostaje się w nim taka porcya pogardy i nienawiści, że miałyby zupełne prawo sobie przypisać całe arcydzieło. Krzywili się silni tej ziemi pod jadowitym tchem jednego kuternogi, w żółci własnej wątroby mógł się był kąpać zdrajca Irlandyi Castlereagh, żywi i pogrzebani królowie Anglii. Niczem może była obelga wyrządzona pamięci Elzbiety, Jerzego, regenta, niczem wszystkie przekleństwa, miotane z niemiłosiernem szyderstwem na szlachciców jego ojczyzny w porównaniu z tem, co wysyłał pod adresem innych winowajców.

Don Juan w założeniu swem jest poematem narodowym, ale w dalszym ciągu— nie. Fałszywe blaski angielskiej śmietanki miały w nim przedewszystkiem krwawego szydercę. Wiecznie dbałe o przyzwoitość rody jego współziomków, jak i za dni dzisiejszych, nurzały się w błocie rozpusty, ale przesłaniały ją drogocennemi firankami. Byron na złość przesunął im przed oczami cały szereg scen lubieżnych, które malował z nienaśladowanem mistrzostwem. Począwszy od miłostek z Julią, które wzrosły i dojrzały pod pieczą purystki matki, a kończąc na Adelinie, która Don-Juanowi zastępuje podaniowego komandora i przebrana za widmo mnicha ofiaruje mu o północy swe wdzięki— wszystko tu jest „donżuanerya.“

Ale, rzecz szczególna, donżuanerya naiwną, niewinną, poetyczną, jak sama natura. Na kanwie erotycznej wyhaftowane przez poetę obrazy nie są jedynym jego celem, nie tylko dla zgorszenia i na przekorę pruderyi roztacza on przed wzrokiem obłudników nieskończony szereg orgij, miłosnych szeptów, ruchów, przed którymi ci skromnie spuszczają oczki i mruczą: „nie wódź nas na pokuszenie!“ Tkwi tam i druga jeszcze myśl, głęboka i poważna: przeciwstawienie miłości szczerej, rządzonej jedynie instynktami naturalnymi, owej parodyi uświęconej stułą i ołtarzem. Tak czystego i zarazem tak naturalistycznego romansu, jak sielanka Don Juana z Haidą nie ma może cała literatura. Czuć tu ów zwrot ku pierwotnym podszeptom natury, które do zasady podniósł Rousseau.

Don-Juan nie jest ciągłem opowiadaniem, ale nieskończonym łańcuchem nawiasowych uwag, ubocznych pocisków. W tych odskokach, za które sam z niepoprównanym dowcipem wciąż się chłoszcze, tkwi cały balast satyry. Niema potęgi na świecie, którąby tam uszanował ten istny lucyper ironii. Skrzydlata muza jego rani wszelki kult powagi. Nie daruje on fanatykom klasycyzmu, że pod niebiosa wynoszą każdy wiersz Homera, choć go nie rozumieją i rozumieć wcale nie mogą, choć piękno poezyi greckiej na wielu punktach

równa się naszej śmieszności. Uroczyście porównywa swego bohatera do osła, bo dla czego nie ma tego czynić, kiedy arcykapłan poezyi, ślepy bard grecki, w podobny sposób wysławia swoich ulubieńców, a ogół krytyków cmokcze językami z zachwytu; nie przebacza żadnemu poecie, żadnemu filozofowi, który zgrzeszył śmiesznością, shańbił się podłością, lub niezasłużenie został benjaminkiem opinii powszechnej, zazdrości francuzom, że mają treściwy wyraz „langeur“—ale pociesza się myślą, że anglik ma samą treść—bo ma Wordswortha. Na każdym kroku drwina splata się z litością, a tak się za ręce trzymają, że nie wiesz, której masz uwierzyć, która w danej chwili gości w sercu opowiadacza. Oto rozbitki z listu pierwszej kochanki Don Juana robią losy, pozostawiając ślepej fortunie wybór tego, kto ma zaspokoić ich głód; ofiarą pada czcigodny mentor bohatera, osoba uprzywilejowana, bo w długiej sutannie, za to unika śmierci inny, któremu dziewczęta w porcie zostawiły podarunek, ocalający go od żarłoczności towarzyszów—a wszystko to na tle rozpaczy nieszczęsnych tułaczów, którym nie pozostało już ani jednego ludzkiego instynktu. Ledwieś przestał się śmiać, a chce ci się już płakać nad ojcem, który bezsilnie patrzeć musi na skon synów i krople dżdżu daremnie wciska w zakrzepłe usta ukochanych. Uczucie tkwiące w sercu zawsze i wszędzie więcej dla Byrona warte niż inteligencya i cywilizacyjna wyższość pojęć. W wspaniałym obrazem bitwy pod Izmaiłem zdradza on co chwila sympatyę swą dla turków, jakkolwiek wysyłając ich na tamten świat, kpi z marzeń o raju Mahometa; czuć, że temu baszy, który z mieczem skrwawionym opędza się stugłowej hydrze nieprzyjaciela, stojąc na pięciu trupach swych potomków, chętnie pospieszył by na odsiecz, chociaż każdego z osobna pożegnał śmiechem i drwinami.

My tego męstwa dzisiaj wyobrazić sobie nie potrafimy i słuchamy opowieści o tym bojowniku swobody, jak o indyjskiem bożyszczu, z tą różnicą, że zamiast potwornych kształtów i Molochowego ryku, widzimy oblicze Apollina, słyszymy czarowną słów muzykę. My dziś pojąć niezdolni tego hartu jakiego potrzebuje duch ludzki, ażeby zagłuszyć w sobie tęsknotę za niewdzięczną ojczyzną i skazać się na wieczne wygnanie; największej miary ludzie, gdy utracą z oczu ziemię, która ich wykarmiła, ulegają melancholii, marnieją lub karłowacieją. Byron rychło zrzucił z siebie pielgrzymi płaszcz Child-Harolda i wdział elegancki kostium Don-Juana by parsknąć długim, nieprzerwanym śmiechem w oczy Anglii i całej Europie.

Takiego olbrzyma ludzkość nie prędko się doczeka. Jeden tylko człowiek umiał tak szydzić jak Byron—to był Heine; dwaj tylko przypominali Byrona polotem humanitarnych uczuć i lwią odwagą: Wiktor Hugo i Shelley—dziś już niema żadnego z nich: trony władców poezyi stoją opróżnione.

Pozostały tylko ich nieśmiertelne cienie. Przed największym z nich ukorzmy się, gdy w uszach naszych rozlegają się eolskie dźwięki jego arfy w zrozumiałej, dostępnej dla każdego mowie. Nie dajmyż przebrzmieć im bez echa, nie omińmy ich milczeniem, jak pierwsze, lepsze wspomnienie dźwięcznej melodyi. Nie krzyczmy, że jest znaną nam, bo skłamiemy, nie narzekajmy, że utarta, bo złożymy dowód nierozumu, który chce być mędrszym od całego stulecia, dotąd jeszcze silącego się na zgłębienie „wszechsatyry.“ Sposobność nastręczyła się, bo mamy przed sobą przekład „Don Juana“ gładki, potoczysty i dla przeciętnych wymagań więcej nawet niż zadawalniający.

Pan Porębowicz piśmiennictwu naszemu tym podarkiem przysłużył się nie mało, objawiając jednocześnie wielkie zamiłowanie do wzoru i wielki gust, pomimo, że jak i inni tłumacze tego najznamienniejszego utworu Byrona, był bezsilnym wobec licznych jego nie do naśladowania błyskotek i drobnych klejnotów, jak językowe dwuznaczniki, misternie zbudowane gry słów, subtelne alluzye, którym przeznaczono pozostać na zawsze w granicach oryginału—i urągać usiłowaniom wszystkich wogóle tłómaczów. Zapewne, w naszem roznerwowanem społeczeństwie, gdzie każdy nader słabo jest opancerzonym przeciw gorączce zmysłów, nie jeden ustęp Don-Juana mógłby z korzyścią być zamazanym dla młodego czytelnika, ale dla umysłów dojrzałych i umiejących czytać pomiędzy wierszami i ponad wierszami, po za formą obrazów i rzeźb dostrzegać tkwiący w nich sarkazm—jest książką, która więcej ciekawych rzeczy pokaże, niż dzieła Arystofanesa, Juwenala, Rabelais'go, a blaskiem poezyi zaćmi je może.

N. Hirszband.

PRASA PERYODYCZNA.

Lwów, 15 stycznia 1886.

Przegląd społeczny, pismo naukowe i literackie, zeszyt 1-szy.

Pierwszy zeszyt zapowiedzianego przed kilku miesiącami czasopisma p. t. *Przegląd społeczny* opuścił właśnie prasę. Pojawienie się nowego miesięcznika na naszym gruncie, z barwą zgoła odmienną od reszty prasy galicyjskiej, jest faktem godnym zaznaczenia. Nie potrzebuję powtarzać, że godłem, jakie *Przegląd społeczny* na swym sztandarze wypisał, jest służenie sprawie postępu. W jaki sposób służbę tę spełniać zamierza, określiła redakcya w niedawno wydanym prospekcie (trochę niewyraźnie stylizowanym) zapowiadając, że zadaniem pisma będzie: a) dążenie do ogarnięcia, na tle filozoficznych i przyrodniczych teoryj oraz odpowiedniego faktycznego materyału, całokształtu zagadnień, wchodzących w zakres nauk humanitarnych, jako to: psychologii, etyki, socyologii, ekonomii, prawa, historyi cywilizacyi, etnografii itp.; b) gromadzenie i opracowanie materyałów, odnoszących się do stosunków krajowych pod względem ekonomicznym, politycznym, umysłowym i etnograficznym ze szczególnem uwzględnieniem czynników, wpływających na ukształtowanie przyszłości w postaci wybitniejszych objawów życia, ewolucyi stosunków ekonomicznych i opartych na niej projektów reform, polityki rządów itp.; c) baczne śledzenie postępowych i reakcyjnych prądów u innych społeczeństw zarówno na polu teoretycznej myśli, jak i na polu rozwiązanych przez nie życiowych zagadnień.

Bez reklam ukazał się pierwszy zeszyt nowego pisma. Jeż, jak wiadomo, jeden z pierwszorzędnych u nas znawców Słowiańszczyzny południowej, porusza nader ciekawą sprawę sporu madyarsko-kroackiego. Zaznacza on, jak trudnem jest dla polaków zająć w tej sprawie stanowisko bezwzględnie bezstronne, gdyż „do kroatów zbliża nas pobratymstwo, z węgrami łączy koleżeństwo; z pierwszymi jesteśmy jednej krwi, do drugich odnoszą się spólne wspomnienia dziejowe, tak dawniejsze, jak daty późniejszej.“ Stąd to głosy polaków w sprawie tych sporów grzeszą jednostronnością. Zdaniem autora, zarówno madyarzy jak kroaci są ofiarą zamętu w pojęciach, jedni i drudzy ulegli podszeptom trzeciego, *qui gaudet*, który dla utrzymania swej przewagi jątrzył ich nawzajem przeciw sobie. W obecnej dobie spór wiodą kroaci nie z narodem, ale ze stronnictwem dzierżącem władzę, chociaż sami, jak się zdaje, tego nie widzą. Spór ten, wikłany ciągłymi błędami obu stron, dałby się rozstrzygnąć, gdyby w miejsce istniejącej ugody (*Ausgleich*) państwowej wprowadzić narodowościową, ubezpieczoną, ustrojem rzetelnie federalnym — dotychczas bowiem federalizm po tej i tamtej stronie Litawy jest złudzeniem.

Artykuł Brandesa p. t. „Typy kobiet niemieckich,“ napisany ze znanemi dokładnie czytelnikom *Prawdy* zaletami tego pióra, zawiera charakterystyczne spostrzeżenia właściwości niewiast germańskiej rasy, zebrane przez niego w rozmaitych miejscowościach i wśród rozlicznych warstw społeczeństwa.

W pracy p. t. „Polska w czasie wielkiej francuskiej rewolucyi i wpływ tej ostatniej na nią“ zajmuje się p. Limanowski sprawą reform społecznych w Polsce przy końcu ubiegłego wieku, szczególnie zaś zaznajamia nas z osobistością i działaniami reformatorskiemi ks. Hugona Kołłątaja (autor pisze „Kołłontaj,“ ponieważ tenże sam się tak podpisywał). Wyniki tej pracy, wyjętej, jak zapewnia redakcya, z obszernego studyum, poświęconego ruchowi reformacyjno-rewolucyjnemu w drugiej połowie XVIII wieku, będą niewątpliwie wielce interesujące wobec tego, że właśnie w ostatnich czasach już z innej strony bliżej osobą Kołłątaja i owym ruchem reformatorskim się zajmowano (ks. Kalinka — Smoleński).

Nowela Wołowskiego Michała p. t. *Kusiciel* osnutą jest na stosunkach irlandzkich owej doby, kiedy rewolucya francuska odbiła się potężnem echem wśród uciśnionego narodu i rozbudziła rozmaite nadzieje, dotąd nieziszczone, a wślad za tem niejedna ofiara zakończyła żywot w cytadeli dublińskiej.

Z innych artykułów podnoszę: nader ciekawą „kronikę paryską,“ charakteryzującą obecne partye polityczne francuskie a w szczególności kreślącą dokładnie program tamtejszych nieprzejednanych, którzy obecnie przybrali nazwę radykalistów socyalistycznych (radicaux socialistes); dalej artykuł o konkurencyi amerykańskiej, poparty szeregiem ciekawych danych, wreszcie kronikę spółczesną, poruszającą sprawę rolniczego przesilenia w Galicyi, tudzież kwestyę wychodźtwa włościan z Królestwa. W końcu kilka sprawozdań literackich.

Jak widzimy, treść zeszytu pierwszego bogata. Nie będę rozbierał krytycznie każdego artykułu, gdyż wobec kilku dopiero zaczętych byłoby to nawet niemożliwe. Potrzeba czasopisma z kierunkiem wybitnie postępowym w Galicyi jest niewątpliwą. Lepiej by tej potrzebie dogodził tygodnik, który by działał na szersze koło czytających i częściej do nich przemawiał. Nie uwłacza to jednak nic i miesięcznikowi — on także może oddać Galicyi olbrzymią przysługę. Koniecznem jednak jest, ażeby się nagiął do wymagań społeczeństwa, wśród którego istnieje. Miesięczników mamy dość, niektóre zajmują wybitne w prasie polskiej stanowisko, jak np. *Ateneum*. Pismo postępowe, w Galicyi wychodzące, powinno przedewszystkiem poruszać jak najwięcej spraw krajowych i to piekących, pobudzać do reform społecznych, wskazywać błędy w istniejących urządzeniach i środki dążące do ich naprawy — wogóle być nietylko odbiciem nurtujących w kraju prądów, ale torować im drogi. Pierwszy zeszyt *Przeglądu* porusza właściwie tylko jedną sprawę krajową ogólniejszego znaczenia, mianowicie przesilenie rolnicze i to dość ogólnikowo. To za mało. Chociaż warunki istnienia czasopism w Galicyi, zwłaszcza naukowych i wogóle poważniejszych, są bardzo trudne, nie wątpię, że *Przegląd* obrawszy taką drogę, zjedna so-

bie wielu przyjaciół. Wreszcie koniecznem jest, ażeby on skupił około siebie młode siły postępowego obozu, obecnie idące luzem. Niech obok weteranów, którzy oddawna przewodniczą społeczeństwu, staną także ci, do których należy przyszłość.

Leszek.

ODCZYTY.

Lwów, 20 stycznia.

Dr. G. Karpeles, *Goethe w Polsce*.

Pospieszam zdać wam sprawę z pierwszego odczytu Dr. Karpelesa p. t. *Goethe w Polsce*. Ze względu na treść zajmującą i zupełnie nową (która powszechnie dobre zrobiła wrażenie na dobrane koło słuchaczów) streszczę tu pokrótce cały wykład. Pierwszą znajomość literatury słowiańskiej, a właściwie pieśni ludowych zawdzięcza Goethe Herderowi, którego zbiór pieśni litewskich, serbskich, polskich itd. żywo zajął wielkiego poetę. W r. 1785 zawiązuje on pierwsze stosunki z polakami w Karlsbadzie, a mianowicie z ks. Adamem Czartoryskim i jego siostrą ks. Lubomirską, o której z wielkiem uznaniem i jeszcze z większą sympatyą donosi pani Stein w liście z 7 sierpnia 1785 r. Następnego lata bawi znowu w Karlsbadzie w towarzystwie arystokracyi polskiej— Ks. Dębińskiej, hr. Potockiego, ks. Czartoryskiego itd. Temu ostatniemu poświęca wcale nieszczególny wierszyk:

Denn nicht der Pole freut sich dein,
Es freut sich nicht der Jud, allein
Es freut sich dein auch jeder Christ itd.

W r. 1790 przedsięwziął Goethe podróż przez Szląsk do Polski. „Jestem tutaj— pisze do Herdera—w tym nadzwyczaj zajmującym kraju, poznałem niektóre okolice górskie i równiny, a znajduję, że całość musi być niezwykle piękną i plastyczną. Będę miał wiele do opowiadania.“ Zwiedził potem kopalnie w Wieliczce i do nich odnosi się krótki, ale piękny wierszyk: „fern von gebildeten Menschen am Ende des Reiches itd.“ Wrocław zrobił nań niemiłe wrażenie. „Zaleźliśmy do tego krzykliwego, brudnego i cuchnącego Wrocławia, z którego pragnąłbym się jaknajprędzej wyrwać.“ Podczas trzeciego pobytu w Karlsbadzie 1795 wspominał z zapałem o wzajemnej miłości do nieznanej nam bliżej polki „naiwnej, wesołej, pięknej dziewczyny.“ W r. 1808 poznał hr. Borkowskiego, któremu nie szczędzi pochwał. O Jaraczewskiej mówi (1818 r.) że „posiada głęboką znajomość literatury niemieckiej.“ Z słynną pianistką Maryą Szymanowską zawiązał bliższą znajomość w 1823 r. W korespondencyi i w poezyi ma dla niej tylko słowa uwielbienia. Był to podobno najściślejszy stosunek Goethego z polką, który wywarła ogromny wpływ na niego. Stosunek Goethego do Mickiewicza znany z „Listów z podróży“ Odyńca. Mickiewiczowi, o którym się wyraził „on voit, que c'est un homme de genie“ poświęcił dłuższy wiersz "Der Menschen Tage sind verflochten,“ Odyńcowi zaś znany czterowiersz, zachęcający go do kroczenia naprzód w obranym kierunku. O odwiedzinach A. E. Koźmiana i hr. Batowskiego u Goethego wiadomo z *Przyjaciela ludu* i z *Pamiętników* Koźmiana. Pobieżnie tylko zaznajomił się Goethe z Fredrą (ojcem) i W. Polem. Temu ostatniemu, niepokojącemu się w przedpokoju, rzekł z ironią: „Pan masz wiele ognia.“ Na co mu odpowiedział Pol: „Przychodzę bowiem z ognia.“ Było to 1831 r. Goethe potępiał zachowanie się prusaków w powstaniu listopadowem.

O wpływie Goethego na poezyę polską, zwłaszcza na Brodzińskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i Garczyńskiego, o naśladownictwach i tłomaczeniach Goethego w Polsce moglibyśmy więcej i dokładniej powiedzieć, lecz i to, cośmy usłyszeli, wystarczy do wykazania, jak ten geniusz silnie oddziałał na społeczeństwo i literaturę polską—co jest prawdziwą zasługą studyum dr. Gustawa Karpelesa.

H. Biegeleisen.

KONKURS
Towarzystwa Zach. Szt. Pięk.

Gdyby wyrok tegorocznego konkursu Towarzystwa zach. szt. pięk. miał tak ogólne znaczenie, jak np. wyrok w sprawie projektu na pomnik Mickiewicza, niezawodnie powtórzyłaby się zawierucha Dykasowa. Pisma nawet przebąkiwały o proteście, który widocznie przyduszono. Przyznajemy, że i w tym wypadku niezadowolenie jest zupełnie usprawiedliwionem. Nagrodzono bowiem obrazy, których niepodobna uznać ani za dobre, ani za najlepsze z nadesłanych, natomiast pominięto bardzo ładne.

Szczególną łaskę sędziów i krytyków (którzy— zaznaczyć to trzeba — ze swych pochwalnych twierdzeń logicznie wyplątać się nie mogą) zyskał obraz p. M. Kotarbińskiego „Pod strażą aniołów,“ obraz w treści niejasny, w formie nieudatny. Na załamie skały leży trup jakiegoś męczennika (świadczą o tem rozrzucone palmy), przy którym klęczy jeden, a nad którym siedzi drugi anioł — oba z rozpiętemi skrzydłami i kadzielnicami. Nie szukamy w tym obrazie ani wielkiej siły, ani wydatnej oryginalności, bo natura nie dała p. K. tych przymiotów; ale szukamy tego, na co każdy porządny malarz zdobyć się może: prawidłowości rysunku, harmonii barw i... logiki. Otóż rysunek jest tu niezawsze poprawny (piersi nieboszczyka nadmiernie wypukłe, twarze aniołów pospolite itd.), koloryt roztopiony w mrokach—a logika! Może to nie po szkolnemu wymagać jej od malarza, zwłaszcza od malarza fantazyi, my jednak sądzimy, że niema takiej sfery twórczości ludzkiej, w którejby logika była zbyteczną. P. K. malując swoich aniołów, mających w spokoju skrzydła rozpięte, ubranych w szaty arcyziemskie, zapomniał zupełnie, że nie wszystko z wszystkiem kojarzyć można. Skąd obraz czerpie światło: czy z aureoli trzech głów, czy z maleńkiej lampki nad głową zmarłego umieszczonej — zgadnąć trudno. Nie jest to zagadka jedyna, nie podnosimy zaś innych dlatego, że oprócz widoku morza i jego skalistych brzegów na dalszym planie oraz promieniowania głowy męczennika, oprócz tych szczegółów, odrobionych pięknie, całość wprost nie zasługuje na bliższą uwagę. Jest to malarskie ćwiczenie bez wyższego polotu, bez siły, bez oryginalności, bez szczęśliwego pomysłu.

W każdym razie jest to utwór, z którym nie może się równać „Chrystus u sadzawki Syloe“— grupa najzwyklejszych i banalnie ustawionych figur, nakreślonych barwami palonej i niepalonej gliny. Trzymającym na loteryi nie z mniejszą słusznością dostaje się wygrana, niż p. Ciąglińskiemu dostała się nagroda.

Stosunkowo najlepszym z nagrodzonych jest obrazek p. Maszyńskiego „Ostatnie wieści.“ Wprawdzie nie wiemy, czy „ostatnie wieści“ odbiera (od kogo?), czy posyła siedząca na fotelu chora kobieta, która dogasa w cieple gorącego klimatu; wprawdzie twarz jej dość brzydka niewiele wyraża, ale zarówno ona, jak stojąca przy niej dziewczyna i listonosz na tle zielonego ogrodu z pewnego oddalenia rysują się wdzięcznie i żywo.

Wszystkie te trzy prace, według nas, stoją znacznie niżej od dwu nienagrodzonych a przez krytykę lekceważonych, mianowicie od portretu Ackermanowej P. Merwarta i małego obrazka „Sama jedna“ M. Dulębianki. Są to utwory rzeczywiście artystyczne i objawiające istotny talent. Dlaczego nie zostały odznaczone—wobec niemożności posądzania komitetu konkursowego o nieznajomość rzeczy — pozostanie to dla nas dziwną tajemnicą.

Prócz wymienionych wystawili p. Dziekońska „Zakonnika,“ W. Pawliszak „Zdobycz,“ E. Lepszy „Alarm XVI w.,“ J. Styka „Magdalenę“ i „Nowicyuszkę,“ R. Szwojnicki „Dwie rozpacze,“ W. Szerner „Lisowczyków,“ Wolski „Dla chleba“ i kilka innych, którym pewnych zalet odmówić trudno, dziwić się wszakże nienagrodzeniu ich w konkursie nie potrzeba.

Dział rzeźby nie ukazał nam również prac znakomitych; portret hr. T. J. Kryńskiego, „Niewolnica“ L. Pyrowicza, „Rybak“ J. Woydygi, wreszcie popiersia Zawiejskiego i Proszyńskiego noszą na sobie wiele śladów uzdolnienia i trudu, ale nie olśniewają.

Budownictwo wystąpiło najskromniej: J. Hinz przedstawił projekt kościoła, R. Padlewski projekt willi, A. Kluczewicz wnętrze kaplicy Sobieskiego.

Wogóle tegoroczny konkurs Towarzystwa zachęty szt. pięk. dał rezultaty dość słabe, które tylko chwilowo mogą być podniesione deklamacyą niezasłużonej chwalby.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Długi karnawał i krótka wstrzemięźliwość. — Nowa figura tańca. — Sądy obywatelskie. — Sędziowie adwokatami. — Zwykły rezultat. — Najnowszy objaw.— Nieufność redakcyi *Tygodnika ilustrowanego* względem siebie. — Konkurs z plebiscytem. — Koszta wyborcze.—„Młody konserwatyzm“ dowiadujący się o swojem istnieniu. — Towarzystwo p. Dieudonné.—Rzecz dziwna.

Reporterom wierzyć trudno, bo ci, obsługugując pisma różnych „obozów,“ umyślnie podają sprzeczne wiadomości i podczas gdy jeden bawi się na maskaradach, drugi ziewaniem wyważa sobie szczęki. Natomiast wierzyć można właścicielom sklepów i magazynów zbytkowych. Ci bez wyjątku (przepraszam — z wyjątkiem reklamowanych w organach mód) utrzymują, że takiego „psiego karnawału“ nie pamiętają. Musi on być rzeczywiście „psim,“ skoro niektóre pisma zaczynają przebąkiwać o potrzebie ograniczenia — oszczędności. Tak, proszę państwa, do tego już doszliśmy! Ale niech przerażeni lub zasmuceni nasza zbytnią oszczędnością nie trapią się: karnawał bowiem jest tego roku długi, a nasza wytrwałość zawsze krótką. Jak tylko prasa wskaże niedaleką kupkę popiołu, jak ukoronuje kilka „królowych balu,“ jak wysławi kilka „toalet,“ jak krzyknie: panowie i panie rrrron! — bogowie, radzę wam wtedy uciec w najodleglejsze od ziemi sfery Olimpu, bo do popielca spać nie będziecie. Na co zgnębiony, biedny i smutny polak może się zdobyć w zapusty, tego nikt obliczyć nie zdołał.

Gdybym był Fikalskim, natychmiast do mazura lub kotyliona wprowadziłbym nową figurę — sąd honorowy. Już niejednokrotnie usiłowałem zbogacić ulubioną naszą sztukę choreograficzną, zawsze daremnie. Przypuszczam więc, że i tym razem dobra moja chęć zmarnieje. A szkoda! Prześliczny bowiem pomysł, który tak doskonale może zastępować miejsce nikczemnych pojedynków i długich procesów, zwyrodnił się u nas tak dalece, że go już warto przenieść w krainę wesołości. Najpoważniejsi i najuczciwsi ludzie powołani do rozstrzygnięcia sporu, nie są obojętnymi sędziami, ale obrońcami stron, które ich wybrały. Trzech lub pięciu adwokatów występuje przeciw tyluż adwokatom a zupełną równość głosów przeważa wszechwładny su-

perarbiter. To też sądy honorowe coraz bardziej zamieniają się na sądy superarbitrowe — z kłótnią, waśnią, niezadowoleniem i protestami. W stosunkach naszych trybunały obywatelskie przydałyby się bardzo, gdybyśmy chcieli wogóle sądzić bezstronnie, beznamiętnie. Ale na nieszczęście wszędzie jesteśmy jednacy — tacy z nas sędziowie w życiu, jak w literaturze. Tu znamy tylko wierną służbę w przyjaźni lub zależności — tam również; tu oceniamy rzeczy według sympatyi lub odrazy do osób — tam podobnie. Jeżeli autor, który wydał swą pracę, musi, bez względu na jej wartość, przyjąć wymysły z jednej strony krytyki, a chwalby z drugiej, to czemuż od tego losu miałby być wolny każdy, będący w zatargu o honor lub pieniądze? Jest to przecie konsekwencya naszej natury. Czy ustanowimy konkurs na projekt pomnika, czy komisyę do rozdziału nagród między wystawców przemysłu, czy otworzymy turniej dramatyczny, czy poddamy sporną sprawę pod rozpoznanie grona obywateli, zawsze stare szydło z worka wylezie. A siedzi ono w worku każdej warstwy społecznej. Niedawno z sądu państwowego wycofano głośny proces i powierzono go honorowemu, złożonemu z tuzów atutowych „wyższego świata.“ Zdawało się, że tuzy utrzymają w swych rękach tę sprawiedliwą szalę, która tak często wypada z rąk młódek i waletów. Gdzie tam! Powtórzył się zwykły w takich wypadkach rezultat: połowa sędziów odmówiła podpisania wyroku i założyła protest, który z całą sprawą powędrował do sądu państwowego. Nie zaglądam w jej treść i nie rozstrzygam, która strona usiadła pod stopami Temidy, ale zapytam: czy my możemy skarżyć się na jakiekolwiek wyroki ciał urzędowych, jeśli nasze ciała honorowe okazują taką nieudolność lub niesprawiedliwość? Czy odbył się u nas w ostatnich czasach sąd obywatelski, o którym by powiedziano: czysty głos sumienia? Kodeks dopuszcza takie trybunały, nadaje nawet ich orzeczeniom szczególną moc, a wyznajmy szczerze: jak to prawo wyzyskujemy?

Nie ufamy już swoim sądom tak dalece, że redakcya *Tygodnika ilustrowanego*, długo uważana za najkompetentniejszą a dotąd za najbezstronniejszą w wyrokach krytycznych, zrzekła się głosu w ocenie wartości nawet własnego konkursu i odstąpiła głos swoim... abonentom, (którzy niedawno również decydowali, czy pismo to ma być składane na interliniach). Wybierze ona tylko i wydrukuje trzy najlepsze utwory i ogłosi je, a prenumeratorzy za pomocą nadesłanych im kartek rozstrzygną, według jakiej kolei przyznać autorom nagrody. W ten sposób radzono sobie na wystawach pięknych kobiet! Nie przeczę, że ten rodzaj plebiscytu zapewni pewnemu kołu ludzi przedsmak dumy wyborczej i to w wyższej, niż polityczna, sferze życia; ale że on zarazem zdradza abdykacyę — nie ulega wątpliwości. Tym środkiem redakcya wyznaje, że ona niema w sobie sił do słusznego osądzenia trzech... nowel, że musi odwołać się do swego... ludu po radę. W gruncie rzeczy tak źle nie jest, ale figiel wydawniczy tak wygląda. Figiel to będzie dosyć drogi. Bo gdyby tylko 2,000 abonentów przesłało pocztą swe głosy, to samych marek wyjdzie za 140 rs. na koszta elekcyi. Żal mi owych rubli tem więcej, że *Tygodnik* nie potrzebuje ratować się takimi plebiscytami. O ile mi wiadomo, prenumerata jego od nowego roku znacznie wzrosła, a nawet pierwszy numer wyczerpany musiano przedrukowywać. Mam nadzieję, że i ja dostanę kartkę wyborczą, a wtedy napiszę na niej tyle: „Kupiec X. X., u którego nabywam musztardę, nie wzywał mnie ani razu do orzeczenia, z jakiej fabryki ma ją sprowadzać. Jestem mu za to bardzo wdzięczny, gdyż nie kłopocze mi głowy, z gatunkami tego towaru nieobznajmionej, a nadto wzbudza we mnie wiarę w swoją znajomość musztardy. Prenumerując *Tygodnik ilustrowany*, mniemałem, że jego redakcya najstosowniej sama oceni, co ma swoim czytelnikom podawać. Odebrawszy kartkę do balotowania, mam zaszczyt donieść, że skutkiem braku czasu nie mogę być jednocześnie i abonentem i redaktorem szanownego organu, którego dotychczasowym przewodnikom głos mój bez ograniczeń odstępuję.“ Gdyby zaś tak postąpili wszyscy prenumeratorzy *Tygodnika*, wyniknęłyby stąd dwa dobre skutki: 1) jego redakcya odzyskałaby znowu ufność w swe siły a 2) nie wydałaby już drugiego plebiscytu i nie narażała swych przyjaciół na zmarnowanie paru tysięcy pocztowych marek.

Niedługo zapewne ukaże się odezwa do narodu świeżo wyklutej „partyi“ zachowawczego drobiu, zwanego „młodym konserwatyzmem.“ Już bowiem piszczy i podfruwa kilkoro piskląt dość śmiało. Wprawdzie, gdy jeden kogucik wskoczył na płot i chciał zapiać na odmianę, starsze go zepchnęły i podziobały, ale pisk się odzywa. I co to za rodzaj? Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że żyjemy w czasie rozpierania się małości. Z rozmaitych głębin, szczelin i mroków wyłażą i wypełzają rozmaite drobne stworzonka, które, nadymając się własną dumą, tak pęcznieją, pęcznieją, aż cienka ich skórka nabiera przezroczystości, zdradzającej wewnętrzną pustkę. Kto dziś w orkiestrze dziennikarskiej nie chwyta za pierwsze skrzypce! Rzępoły, karczemni grajkowie lub długowłosy kandydaci na zapoznanych, którzy przez pewien czas podudlą i znikną bez śladu w kanałach literatury. Nic też dziwnego, że w takiej mglistej, posępnej i chłodnej porze zalęgło się coś, co chce przypominać Bismarków, Wagnerów, Churchillów, Lienbacherów itp. „odrodzenie konserwatywne.“ To coś długo nie wiedziało o swym odrębnym bycie, nie nosiło nawet osobnej nazwy, którą wreszcie otrzymało od — nas. Tak, *Prawda*, zgarnąwszy sitem ten żabi skrzek, ochrzciła go „młodym konserwatyzmem.“ I oto od kilku tygodni posiadamy „młodych konserwatystów.“ podrygujących buńczucznie, zadowolonych ze swego... imienia. Kurtkę bowiem, obszytą galonikiem, już mają, tylko co w niej robić będą, za co walczyć — jeszcze nie wiedzą. I nie dowiedzą się, jeśli przeciwnicy nie „zdecydują“ nowych rycerzów. Na szczęście, poważnych przeciwników dotąd nie wywabili w pole.

Poważnych i logicznych przeciwników zbytku, którzy odstraszali publiczność od Patti a napędzają do jakiegoś Dieudonné, mocno przepraszam, że posądzałem ich o konsekwencyę względem trupy francuskiej, która nawiedziła Warszawę. Przypuszczałem, że komu była za droga znakomita śpiewaczka, temu za drogą będzie również gromadka wysortowanych aktorów z jednym prawdziwym artystą. Omyliłem się. Nieprzyjaciele Patti werbują słuchaczów panu Dieudonné, który — pozbywszy się barytona Lassala — mógłby z resztą swego towarzystwa oczarować Pacanów, gdyby Pacanowowi cośkolwiek zależało na tem, ażeby „jego publiczności, która interesowała się teatrem francuskim, przypomnieć starą szkołę.“ Ponieważ, na nieszczęście, Warszawa leży po drodze różnych włóczęgów artystycznych, więc ona dla p. Dieudonné „zapełnia teatr po brzegi,“ którego po loże zapełnić nie może dla swoich lepszych aktorów i śpiewaków. Doprawdy, od czasu jak wiem, że fabrykanci polscy muszą na swych wyrobach przylepiać znaczki paryskie, że gdy ladacznica nad Sekwaną włoży szczura na głowę, to zaraz go włożą również „zacna matrona“ nad Wisłą, że nawet zgniliznа francuska pachnie polskim nosom, od tego czasu dziwię się, że do Warszawy nie przyjechało jeszcze paryskie prosię i nie dało kilku przedstawień „dobrego akcentu.“ Miałoby wielki „sukces,“ czyli, mówiąc pospolitym i wzgardzonym językiem — wielkie powodzenie.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Banki miejskie. — Polska potulność. — Słabe nerwy i cuda mikroskopu. — Dowcip św. Marka. — Oznaki wiosny.

Rozmaitość typów społecznych, do której wzdychają zarówno zwolennicy różniczkowania socyalnego, jak i autorowie poszukujący w życiu bohaterów dla swych utworów, znika coraz bardziej pod wpływem warunków, sprowadzających miłą oku „różnorodność w jedności“ do wspólnego mianownika. Pomimo drobnych odmian typy nasze społeczne policzyć można na palcach: szlachcic, przeklinający Amerykę i myślący o mnożniku, ksiądz, piorunujący na pozytywizm i również zajęty mnożeniem, fabrykant niemiec, który zamierza rozszerzyć zakres produkcyi, fabrykant polak, który zapomina o swojem przedsiębiorstwie, ale natomiast wygłasza długie mowy w Towarzystwie zachęty przemysłu i handlu, kupiec, który już zbankrutował, i kupiec, który dopiero zbankrutuje, literat, który skończył trzy klasy i „cieszy się uznaniem“ i literat bez uznania, który zwykle posiada stopień naukowy, student, będący już to „naszym poczciwym młodzieńcem,“ już bezwiednem narzędziem obcych wpływów, chłop, który ma przewrotne zasady, ale grunt dobry, żyd wreszcie—konieczna przyczyna wszelkich zbrodni w *Roli* i ofiara niesłusznych prześladowań w *Izraelicie* zbiorowym i pojedynczych organach izraelitów obrzezanych lub chrzczonych. Nad nimi zaś w poetycznym obłoku unosi się biała, pulchna i cnotliwa jak gęś — niewiasta, która głośnem gęganiem budzi zaspanych obrońców narodowego Kapitolu. W tej harmonijnej różnorodności brak nam jednak typu samorodnego finansisty, tego rodzaju, jakiego ciekawe okazy widzieliśmy w bliskiem sąsiedztwie rozkrzyżowane na ławach sądowych, później zaś zwykle powracane społeczeństwu „świętym wyrokiem sumienia narodowego.“ Spodziewać się wszakże możemy, że wkrótce rośliny te wykwitną i na naszym gruncie, tem bardziej, że „pomimo trudnych okoliczności, w jakich żyje nasze społeczeństwo“ potrafiliśmy i w tej dziedzinie zaznaczyć już „poważną pracę“ kilku imion polskich (Krzeczkowski, Rembertowski, Broniewski itd.).

Nadzieja, którą wyraziłem, posiada widoki urzeczywistnienia w niedalekiej przyszłości. Miasta prowincyonalne w Królestwie posiadają znaczne kapitały, złożone w Banku. Obecnie powstał projekt, ażeby kapitałów tych użyć na założenie banków miejskich, które w Cesarstwie „przyczyniły się tyle do rozwoju wytwórczości i dobrobytu.“ Rzeczywiście pp. Rykow, Swiridow i inni szeroko rozwinęli operacye finansowe, ale przykład Rosyi w tym wypadku może chyba odstraszyć tylko od naśladownictwa. Zwolennicy projektu zapominają, że przed dwoma laty banki miejskie w Cesarstwie bankrutowały jeden po drugim. Po co ma istnieć bank w takim np. Biłgoraju lub Opatowie? Albo będzie wegetował i dochodami opłaci zaledwie koszta zarządu, albo wda się w spekulacye i prędzej lub później upadnie. Z pożyczek skorzysta nieliczne grono geszefciarzy na szkodę reszty ludności. Miasta nasze nie posiadają najpotrzebniejszych instytucyj—jak np. kas wkładowo-zaliczkowych, o-

szczędności itp. — a zachciewa się im, tj. właściwie nie im, lecz nieproszonym protektorom — banków.

W Cesarstwie zresztą banki znajdują się pod kontrolą organów samorządu miejskiego, kto zaś u nas będzie pełnił te funkcye?—Burmistrz, albo pp. radni, którzy często czterech działań arytmetycznych nie znają?

Widzimy, ci, rozumie się, którzy widzieć chcą, jak działają kasy gminne. Niezamożny włościanin nie dostanie w nich pożyczki, wszystkie zaś kapitały zabierają bogatsi lub protegowani, którzy potem wypożyczają je uboższym na straszną lichwę. To samo, tylko w większych rozmiarach, powtórzy się w bankach miejskich. Pozyskamy natomiast wiązankę nowych typów, zjawią się pp. dyrektorowie i kasyerzy, którzy pójdą utartym przez sąsiadów śladem, którzy będą „gubić" po 10,000 rs. — jak to uczynił przed paru dniami niejaki p. Kozłowski w Kijowie, będą za kradzione pieniądze wspierali zakłady dobroczynne, oświatę i sztukę, w chwili zaś sądowego obrachunku odezwą się cynicznie: „kradliśmy, ale dlaczego nas nie pilnowano, dlaczego pozwolono nam zakładać przedsiębiorstwa spekulacyjne — dyabli wiedzą na co i dlaczego?" Argument to wypróbowany i zbite nim z tropu „sumienie narodowe" wygłasza zwykle potem wyrok uniewinniający.

Bo zanim banki zdążą zbankrutować, będziemy już mieli sąd przysięgłych. Nowy minister sprawiedliwości zamierza instytucyę tę wprowadzić do Królestwa, *Dniewnik Warszawskij* zaś dodaje szczegóły o pewnych zmianach, jakim ulegnie ona w kraju naszym. Sędziowie zatwierdzani będą przez rząd z liczby wybranych kandydatów.

Musieli już niemcy dobrze dopiec potulnej ludności polskiej w Łodzi, kiedy nawet spokojny fejletonista arcy-spokojnego *Dziennika* oburza się na ich butę i zarozumiałość. P. Sarmaticus nie oszczędza jednak i polaków, w czem ma zupełną słuszność. W rozmowie z niemcami używamy zwykle ich języka, ustępujemy im dobrowolnie na każdym kroku i skarżymy się potem na germanizacyę. Są tacy polacy, którzy na ulicy zwracają się zawsze do nieznajomego przechodnia z zapytaniem niemieckiem. W rozmowie towarzyskiej niemiec, kalecząc nasz język, próbuje wszakże wysłowić się po polsku, ale grzeczny interlokutor przerywa mu zaraz: sprechen sie deutsch, ich *verstanden*—i plecie niestworzone rzeczy niby to po niemiecku. Panie są jeszcze grzeczniejsze od mężczyzn, i w tych nawet sklepach, których właściciele lepiej mówią po polsku niż po niemiecku, używają zawsze mowy germańskiej. Fejletonista zaręcza, że niemcy dość chętnie uczą się po polsku, jeżeli zaś dążenie to nie stało się powszechnem, to dlatego, że znajomość mowy naszej jest w Łodzi zgoła zbyteczną. Patryoci zaś łódzcy (są i takie okazy) unikają starannie stosunków z niemcami, z obawy, żeby ich nie zgermanizowano. Ostrożność ta jest tam synonimem obywatelskiego bohaterstwa.

To samo mniej więcej piszą do *Wieku* z Zawiercia. W restauracyach niema wcale pism polskich, bo nikt o nie nie pyta. Właściciel zakładu niemiec zaprenumerował kilka dzienników warszawskich, ale polacy miejscowi nie czytali ich wcale, niemcy zaś bardzo rzadko. Rozumie się, że restaurator nie naraża się dłużej na zbyteczne wydatki.

W tym samym fejletonie *Dziennika łódzkiego* znajdujemy kilka szczegółów obyczajowych z życia t. z. „Manchesteru polskiego." Łódź posiada pod pewnym względem więcej cech wielkiego miasta, aniżeli Warszawa; szkoda tylko, że ta odwrotna strona rozwoju przemysłowego rzadko bywa oświetlaną. Demoralizacya ludności robotniczej przybiera tam szerokie rozmiary; w wyzysku, w rozpuście, w upośledzeniu moralnem i fizycznem warstw pracujących „Manchester polski" współzawodniczyć może z angielskim. Zdarzają się tam sceny obrzydliwe i straszne. Pewnego dnia na ulicach miasta zjawiła się dziewczyna, która gryzła własne ręce w napadzie szału i rzucała kamieniami na przechodniów. Była to nieszczęśliwa ofiara „temperamentu społecznego," którą podstępnie zwabiono do domu rozpusty; przebyła tam przez noc tylko i dostała pomieszania zmysłów. Miejscowi moraliści twierdzą, że o głupstwach tego rodzaju nie należy wcale wspominać, podobne wypadki zdarzają się w Łodzi codziennie a dziewczęta przecie nie waryują. „Ta ostatnia miała widocznie słabe nerwy."

Czasami jednak Łódź staje się prawdziwym partykularzem, czemś w rodzaju Pacanowa lub Kozienic. Pomimo zaciętej opozycyi *Rocznika medycyny krajowej*, który ogranicza stale liczbę lekarzy łódzkich do sześciu, praktykuje ich w tem mieście rzeczywiście trzydziestu kilku. Jest to ładna liczba, ale ponieważ czasy są ciężkie, a współzawodnictwo owczarzy energiczne, lekarze muszą brać się na sposoby. Jeden z nich wynalazł bardzo dowcipny środek zwrócenia na siebie uwagi publicznej: ogłosił bowiem, że kupił... mikroskop. Pomysłowy spekulant szczegółowo bardzo opisuje zastosowanie tego przyrządu, nadmieniając, że za pomocą jego przepowiada nawet wypadki nagłej śmierci. Łódź nie posiada towarzystwa lekarskiego, koledzy więc nie mają żadnej możności poskromić wybryków szarlatana. Niektórzy gorliwsi o honor korporacyi pragną zwrócić się do władzy, żeby zabroniła ogłoszeń; niewłaściwa to droga, ale modna w dzisiejszych czasach. Trudno jednak przypuścić, żeby jakakolwiek władza zechciała mieszać się do takich spraw, do rozstrzygania których, chociażby wiedziała nawet o istnieniu i znaczeniu mikroskopu, nie posiada właściwej kompetencyi.

Jeżeli inteligencya łódzka wierzy w „cuda mikroskopu;" nic dziwnego, że chłopi w chełmskiem uwierzyli w odwiedziny św. Marka. Hryć Opanasiuk, posłyszawszy niezwykły szelest w komorze, wszedł tam i ujrzał starca z wielką brodą, klęczącego na środku izby. Starzec oznajmił gospodarzowi oraz jego żonie, że jest świętym Markiem we własnej osobie i polecił im zwołać natychmiast wszystkich sąsiadów na wspólną modlitwę. Hryć z żoną pobiegli na wieś i sprowadzili wkrótce całą gromadę ciekawych, święty starzec zniknął jednak i napróżno oczekiwali go dość długo. Wreszcie praktyczna Oksena zauważyła, że brak w komorze połcia słoniny, a dalsze poszukiwania wykazały, iż dowcipny apostoł zabrał co się dało z cenniejszych rzeczy i ulotnił się tak cudownie, że pomimo pogoni ująć go nie zdołano.

W krainie złudzeń cudownych przebywa również niejaki p. S. D. Wicz, który w *Gazecie lubelskiej* podaje myśl zawiązania stowarzyszenia, mającego na celu zupełne usunięcie pośrednictwa. Spożywca powinien porozumiewać się wprost z wytwórcą. Myśl to zupełnie słuszna, ale czyż p. S. D. Wicz nie rozumie, że spełnienie jej prowadzi do radykalnej zmiany w ustroju społecznym i osiągnięty być może za pomocą zasadniczych reform dzisiejszego stanu rzeczy? Jakkolwiek nie mam uprzedzenia do polskiego Nazaretu nad Bystrzycą i wierzę, że może zeń wyjść coś dobrego, wątpię bardzo o praktycznem wykonaniu projektu p. Wicza, nawet w szczupłym zakresie.

W Radomiu kilku zapalonych subjektywistów, którzy na zasadzie spostrzeżeń nad samymi sobą doszli widocznie do przekonania, że nastąpiła już pora majowej... zieleni — urządza wielką maskaradę na łodzie. Przytaczamy wyjątek z afisza: „*Maskarada-Lato*. Pp. przyjmujący udział proszeni są o przybycie w letnich kostiumach, przybranych w kwiaty, ażeby tym sposobem nadać zabawie komiczny i oryginalny charakter." Rzeczywiście oryginalny, ale nie komiczny chyba będzie widok tych rozbawionych, którzy dla zabawy nie zawahają się narazić zdrowia, lub nawet życia.

Wiosna jednak zbliża się na prawdę i wkrótce już powitamy doroczny jej występ. Nie wiem, co tam mówią meteorologowie, ale posiadam znak niezawodny, który nigdy nie myli: pp. Fajans i Górnicki rozpoczęli już polemikę w sprawie żeglugi na Wiśle. Z obu stron padły pierwsze strzały — wiosna tedy za pasem.

J. Nieborski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Teatr. Wszystko, co śpiewał Lassale (z trupy francuskiej) było godnem znakomitego artysty, który obok potężnego organu, posiada świetną technikę. Glos jego tętni dramatyczną siłą, która łączy się z sztuką aktorską wyrazistą, piękną, lubo niewolną od szablonu gry opery francuskiej. W ustępach z *Rigoletta* i w trzeciem akcie *Hamleta* Thomasa p. Lassale oczarował i porwał słuchaczów, którzy żałowali, że artysta nie mógł zablysnąć swym talentem w całości jakiej świetnej barytonowej roli.

Inni członkowie tej naprędce złożonej trupy bledli przy nim, jak lampy przy słońcu. Panna Duvivier *mezzo soprano* śpiewa nieźle zmęczonym głosem, panna Dolmont poprawnie lubo nieświetnie lżejszym sopranem, starając się przytem olśnić widzów powabami bogato rozwiniętego... gorsu. Obie śpiewaczki najlepiej się przedstawiły w urywku z *Hamleta*. P. Viola tenor ma daleko ładniejszą od głosu—powierzchowność.

Artyści dramatyczni tej trupy, odegrali cztery komedyjki. Są to wogóle miernoty i jeden tylko p. Dieudonné wyskakuje nieco nad poziom. Jako przedstawiciel niższego komizmu lubiony jest podobno w Vaudeville'u paryskim—na naszej scenie przedstawił się nieźle, chociaż wolelibyśmy widzieć lepszych i głośniejszych jego kolegów. Zazdrościć tylko można francuzom ich dyrektora p. Vianesi! Energiczny, rzutki ten człowiek zamienia w jednej chwili orkiestrę na strojny i zgodny instrument muzyczny, a podobno nie bawi się w pozowanie na wielkość.

Koncert na korzyść studentów weterynaryi, oprócz p. Dowiakowskiej, nie zyskał w tym roku poparciem artystów i—naturalnie—publiczności. Czemu?

Prof. J. Baranowski, wysłużywszy 25 lat w uniwersytecie, nie uzyskał przy balotowaniu potrzebnej ilości głosów i opuścił katedrę.

Prezesem Kasy Mianowskiego obrano dr. St. Kronenberga, vice-prezesem d-ra J. Baranowskiego.

Koleje konne. Spółka kapitalistów miejscowych i niemieckich przystąpić wkrótce zamierza do budowy kolei konnej z Kutna przez Łęczycę, Turek do Kalisza, z odnogą od Łęczycy przez Ozorków i Zgierz do Łodzi. Koncesya na kolej konną nie przedstawia żadnych trudności, wątpliwem tylko jest uzyskanie zezwolenia na dalszy ciąg tej linii z Kalisza do Ostrowa w Ks. Poznańskiem. W gub. Kaliskiej znajduje się 1,825 fabryk produkujących za $9\frac{1}{2}$ mil. rubli rocznie.

Wydalania. Z Kępna władze pruskie wydaliły *siedmioletnią* dziewczynkę, sierotę, jako poddankę rosyjską.

Ból głowy u dzieci. Jeden z lekarzy rosyjskich ogłosił rezultaty spostrzeżeń swoich nad bólem głowy u dzieci w wieku szkolnym. W ciągu 5 lat badał on 7,478 chorych, z których 867 cierpiało bardzo silnie. Pomiędzy ośmioletniemi dziećmi cierpiące na bóle głowy stanowią 5%, starsze daleko częściej, wreszcie procent chorych dochodzi do 28 a nawet 40% w ostatnich latach wieku szkolnego. Jedyną przyczyną tego smutnego faktu jest przeciążenie pracą.

Statystyka szkolna. Gubernia grodzieńska posiada 980 zakładów naukowych z 32,639 uczących się. W stosunku do ogółu ludności każdego wyznania naj-

mniejszy procent uczniów wypada na katolików, największy zaś na protestantów, potem zaś na żydów. Ten sam stosunek istnieje i w gub. wileńskiej.

Szkoły. Książe Sanguszko ofiarował gmach i 10,000 rs. rocznie, jeżeli w Sławucie otwarte będzie gimnazyum z warunkiem, aby kilku uczniów, synów niezamożnych oficyalistów pobierało naukę bezpłatnie.

Jezuici prow. galicyjskiej urządzili trzy nowe siedliska w Cieszynie, Jassach i Czerniowcach.

Bogactwa kopalne. We wsi Garbów w lubelskiem przy zwiedzaniu majątku przez delegacyę Towarzystwa kredytowego znaleziono pokłady rudy żelaznej, dotychczas jednak nikt nie określił, czy eksploatacya jej może mieć widoki powodzenia. W zachodniej części gubernii natrafiono znowu podobno na pokłady soli i gipsu, ale i o tem odkryciu krążą tylko głuche wieści.

Narady cukrowników. Uczestnicy zjazdu cukrowników w Kijowie podzielili się na dwie partye. Jedni proponowali określenie maximum produkcyi buraków, za przykładem Austryi i Niemiec, drudzy zaś twierdzili, że ograniczenie produkcyi nie ma racyi, należy zaś tylko wyznaczyć przeciętną cyfrę konsumcyi (20 milionów pudów), cukier zaś wyrobiony po nad tę normę wywozić za granicę, z całkowitym zwrotem akcyzy i wypłatę premium po rublu od puda. Żeby zaś skarb nie ponosił ciężaru, akcyzę od cukru należy podnieść o 20 kop. od puda i z otrzymanej w ten sposób przewyżki dochodu wypłacać premium. Wniosek ten przyjęto.

Popieranie oszczędności. Bank państwa postanowił otworzyć w Warszawie cztery kasy oszczędności, przeciw projektowi temu wystąpił magistrat, twierdząc, że w tym względzie posiada on wyłączny przywilej, z którego, niestety, bardzo nieumiejętnie i niedbale korzysta.

Prasa polska. Podobno w Petersburgu wkrótce wychodzić zacznie drugie pismo polskie p. t. *Gwiazda*.

Projekt urządzenia w Warszawie komitetu statystycznego, wniesiony został do Rady państwa. Komitet składać się ma z delegacyi, do której wejdą przedstawiciele różnych władz i osoby zaproszone, oraz ze stałego biura.

Romit. Chemik szwedzki Sjöberg wynalazł nowy środek wybuchowy, któremu nadał powyższą nazwę. W porównaniu z dynamitem romit posiada „nader cenne przymioty,“ nadaje się bowiem do napełniania bomb i granatów, posiadając nie mniejszą siłę wybuchową.

Cukrownictwo w Niemczech doszło do najwyższego rozwoju w 1884 r. albowiem liczba cukrowni wynosiła 408 a ilość przerobionych buraków 104 miliony podwójnych centnarów. W r. 1885 pozostało tylko 376 cukrowni, które przerobiły 89 mil. podw. cent. buraków.

Ciekawy zbiór. Zmarły niedawno ojciec króla portugalskiego książe Ferdynand zbierał utwory konfiskowane przez cenzurę. Miejscowy zarząd cenzury przesyłał mu wszystkie zabronione publikacye, oprócz tego liczni agenci w różnych krajach dostarczali królowi gazety lub książki zabronione. Podobno Austrya zajmuje najpoważniejsze miejsce w tym zbiorze.

Zmarli. Ponchielli, kompozytor muzyczny, autor znanej opery *J. Lituani*, do której libretto przerobiono z *Wallenroda*.

— Dr. Oskar Schmidt, znany zoolog niemiecki.

— B. Neher, malarz historyczny, dyrektor szkoły sztuk pięknych w Stuttgardzie.

— Jan Hempel, b. naczelnik zarządu górniczego w Królestwie, autor kilku prac z zakresu geologii.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Wszystkim abonentom prowincyonalnym dzieł Prusa zwracamy uwagę na wyraźną zapowiedź w ogłoszeniu, że otrzymają oni wszystkie tomy razem, gdyż znaczny koszt opłaty pocztowej uniemożliwia przesyłanie każdego tomu osobno. W lutym druk całości ma być ukończony.

P. Jadwidze B. w Łodzi. „Zarys dziejów literatury polskiej“ Kuliczkowskiego, a zamiast stylistyki — lepszą jest porządna gramatyka i czytanie dzieł pisarzów wzorowych.

Prenum. w Rydze. Osobne zeszyty *Ekonomii polit.* o tyle jedynie sprzedawać będziemy, o ile pozostaną po zszyciu egzemplarzów całkowitych.

St. St. Przeczytaliśmy chętnie, ale drukować nie możemy.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Января 1886 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Swiętochowski.